

Relacja naszego
specjalnego
wysłannika
na
IX Nadzwyczajny
Zjazd PZPR

Czytaj na stronie 2

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 30 (1233) ROK XXIV

26 LIPCA 1981 R.

CENA 7 ZŁ



BYĆ BLIS- KO WSI

rozmowa
z Jerzym
Chojnackim
prezesem
wojewódzkiego
komitetu ZSL
w Łodzi



— Nie da się ukryć, że w minionej dekadzie prestiż ZSL mocno podupadł. Jakże były tego przyczyny?

— Zapomniano, komu ZSL ma służyć. Przywódcy nie byli przeciwni socjalizmowi, ale bali się chyba otrząsnąć i zareagować przeciwko wypaczeniom, żeby ich nie nazwano wrogami socjalizmu. ZSL nie miało zdecydowanego kierunku działania politycznego. Przestaliśmy się liczyć jako partia chłopska. Powinniśmy nie tylko współpracować z PZPR i SD, ale przede wszystkim współdziałać i odpowiadać za swo-

ją pracę. Gdyby założenia polityki rolnej były w pełni realizowane, nie byłoby tak źle. Można było przeciwstawić się błędom, łagodzić konflikty, ale niestety — przywódcy zapomnieli o rolniku indywidualnym. Patrzyli biernie, jak przywileje uzyskują inne sektory rolnictwa. A po Sierpniu wielu działaczy szezebla centralnego i wojewódzkiego stanęło na uboczu i czekało, co z tego wyniknie.

— Wojewódzki Komitet ZSL w Łodzi też nie zasłużył na pochwały.

— Wiem, że aby istniała prawdziwa partia chłopska, musi w niej panować jedność. Władze naczelne powinny być rozliczone. Wiem też, że moim obowiązkiem jest służyć społeczeństwu. A o tym, co było, wolałbym szybko zapomnieć. Uczyniły się na błędach, żeby ich więcej nie powtarzać.

— Jak pan został prezesem?

— Nie miałem pojęcia, że zostanę prezesem. Plenum zrobiło mi niespodziankę i mnie wybrało. Jestem na trzy lata urlopowany ze szkoły.

— Dzisiaj nielatwo zdobywa się zaufanie. Musiał pan na nie zasłużyć.

— Bo ja wiem? Urodziłem się na wsi i nigdy nie straciłem kontaktu z chłopami. Przez trzdzieści lat działałem w ZSL. Jako dyrektor Zespołu Szkół Rolniczych w Bratoszewicach utrzymywałem więź ze wsią poprzez moich uczniów. Ponadto stale byłem w terenie, prowadząc szkolenie i egzaminy kwalifikacyjne dla rolników.

Dalszy ciąg na str. 7

ludzie gadają- cej tapety

Ośrodek Telewizyjny w Łodzi, obchodził w tym roku swoje 25-lecie. Obsługa tematu jubileuszowego jest zawsze dla dziennikarza sorawą przykrą i chętnie oddałby ją koledze. Chyba, że jubileusz postawi się na głowie czyli potraktuje jedynie jako pretekst. Nie będzie więc tym razem próby obiektywnego spojrzenia na dorobek, zadamy nad przeszłością, anegdot i opowieści z myszka. Nie będzie również mówienia o wszystkich, o których z okazji jubileuszu należałoby wspomnieć, od reżyserów i operatorów poczynając, a na elektrykach kończąc — a zatem o tych wszystkich bez których telewizja nie mogłaby istnieć. Odlóżmy to na kolejne „lecie”, na bardziej spokojne czasy. Dziś telewizja to głównie dziennikarstwo — przekaz i interpretacja rzeczywistości. Znamy ich twarze, oglądamy ich programy. Są jednak zawsze niedotykalni, za zimną taflą szklanego ekranu. Przekroczmy ten próg. Co sądzą o swojej pracy? Jakże mają rozterki i marzenia? Oddajmy im głos.

Osobowość telewizyjna
ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI: Przede wszystkim dziennikarz musi mieć coś do powiedzenia — i to jest podstawa. Przegrany więc ten kto tylko będzie się starał podobać. Na przykład pani Irena Dziedzic, która przytaczała swoją osobowość rozmów-

Dalszy ciąg na str. 6

Kryzys polityczny i społeczny w jakim znalazł się nasz kraj, wykazał nieskuteczność tego typu organizacji, jaką był i jest jeszcze dotychczas Front Jedności Narodu. W istocie była to organizacja, która ograniczała się do występowania z apelami, bądź popierała apele innych organizacji, będących jej częścią składową. Nie spełniała roli inicjatora społecznego działania, przez co nie była autentycznym ruchem polityczno-społecznym.

Taka koncepcja Frontu Jedności Narodu była wynikiem tezy o niepodważalnej jedności polityczno-społecznej narodu. Życie potwierdziło, jak dalece teza ta odstawała od rzeczywistości.

O Frontie Jedności Narodu sporo się mówiło ostatnimi czasami, choć zbyt mało jeszcze, jeśli przyjąć, że orga-

FRONT ludzi dobrej woli

Bogda Madej

nizacja ta ma szansę stania się autentycznym frontem porozumienia społecznego, opierającego się na fakcie istnienia wielorakich postaw i poglądów, różnic światopoglądowych czy też przynależności organizacyjnej.

Jaki kształt należy nadać ruchowi społecznemu, który by wychodził z analizy obecnego układu sił społecznych, stwarzając tym samym możliwość współdziałania ludzi o różnych orientacjach politycznych i światopoglądowych? Z tym głównym

pytaniem zwróciliśmy się do członków Prezydium ŁÓDZKIEGO KOMITETU FRONTU JEDNOŚCI NARODU.

W redakcyjnej dyskusji udział wzięli: HENRYK KONARZEWSKI — przewodniczący Dzielnicowego Komitetu FJN Łódź-Polesie, JACEK KRZKOTOWSKI — przewodniczący Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia „Pax”, WŁADYSŁAW RZYM-SKI — sekretarz Łódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego, EDMUND TULKO — wiceprezes Łódzkiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, JAN WAWRZYNOWSKI — wiceprzewodniczący Łódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu.

Dalszy ciąg na str. 6—7

EUGENIUSZ IWANICKI

wróżenie z fusów

Inwestycja ta miała być kolejnym dowodem na istnienie „drugiej Polski”. Znalazła się na jednej liście z takimi gigantami jak „Huta Katowice” i „Port Północny”. Jednocześnie miała stać się Eldorado dla tysięcy ludzi w mieście nie mającym tego typu tradycji przemysłowych. Była nadzieją dla krajowego budownictwa mieszkaniowego. Słowem, poczęto giganta, a urodził się niedonożony wcześniak. Żyje, to prawda, ale czy o takie potomstwo nam chodzi?

Kiedy do Zduńskiej Woli przybywały różne komisje, kiedy postawiono na nogi Urząd i Komitet Wojewódzki, kiedy projektanci i pomy-

ślodawcy gratulowali sobie nawzajem udanego pomysłu i lokalizacji, nikt nie przypuszczał, że oto zebrał się tłum podekscytowanych szamanów i rozpoczęło się wróżenie z fusów.

Tak narodziło się Przedsiębiorstwo Materiałów Izolacji Wodoszczelnej „Izolacja”.

W założeniu miało to być kombinat składający się z dwóch zakładów: w jednym — produkcja papy, w drugim — wydział tworzyw hydroizolacyjnych (lepek, kity, bitizole, masy uszczelniające dla budownictwa wielokopłowego). W sumie produkcja Zduńsko-Wolskiej „Izolacji” miała dostarczyć krajowi aż 50 proc. wyżej wzmiankowanych wyrobów. Za budową takiego giganta przemawiały racje gospodarczo-ekonomiczne. Wycochano ze służnego założenia, że przecież cały nasz przemysł materiałów izolacyjnych i wodoszczelnych pamięta czasy nie tylko II Rzeczypospolitej, ale częstokroć cara Mikołaja II, że nie można tego dziś nazwać przemysłem, a raczej produkcją chałupniczą, i że jeszcze trochę, a stare maszyny zwyczajnie się rozsypią. Alternatywa była taka: albo remont tego, czego nie warto re-

Dalszy ciąg na str. 4—5

Witold Kasperkiewicz

nowe w ministerstwie

Sprawa reformy naszego systemu polityczno-gospodarczego stanowi niezmienne od kilku miesięcy obiekt wielkiego zaciekania społecznego. Znamienne jest, iż w jego epicentrum znajdują się przede wszystkim procesy zachodzące w górnych warstwach owego systemu. Należy uznać to jako normalną reakcję społeczeństwa, które zmuszone jest volens nolens płacić słoną cenę za szaleństwa poprzedniej ekipy rządzącej. Obecnie masy pracujące patrzą władzy „na ręce”, czyli innymi słowami obserwują wnikliwie i z pewną dozą podejrzliwości jej poczynania i rozstrzygnięcia. Przedmiotem szczególnego uwrażliwienia społecznego jest sposób funkcjonowania naczelnych organów administracji państwowej. Krytyka zbiorowisk administracyjnych struktur władzy państwowej stała się integralnym składnikiem dyskusji o modelu gospodarki polskiej zasadzającym się na fundamencie samodzielności i demokracji gospodarczej. Owocem tej dyskusji jest postulat odbiurokratyzowania naszej ekonomiki wyrażający się w potrzebie przebudowy i zdecydowanej (a nie zdawkowej) redukcji centralnych ogniw gospodarczych, w tym głównie ministerstw gałęziowych.

Jak przedstawiają się praktyczne działania wychodzące naprzeciw tym słusznym propozycjom? Otóż, zapowiedzią konkretnych czynów jest podjęta w początku lipca br. przez Sejm decyzja dotycząca reorganizacji ministerstw gałęziowych. Wzbudziła ona od razu wiele mieszanych odczuć w opinii publicznej, oczekującej bardziej radykalnego „rozprawienia

Dalszy ciąg na str. 5

JERZY KATARASIŃSKI

KONIEC DYSKUSJI

(PO IX NADZWYCZAJNYM ZJEŹDZIE PZPR)

Zjazd właśnie się zakończył. Na szczegółowe opisywanie jego przebiegu już za późno. Czytelnik dowie się o nim z prasy codziennej, z radia i z telewizji, na podsumowanie za wcześnie. Trudno jeszcze, tak na gorąco, uporządkować zsyntetyzować natłok informacji, zdarzeń, wrażeń, spostrzeżeń, trudno o wnikliwą analizę wszystkich przyjętych dokumentów, zwłaszcza, że te najważniejsze przyniosł ostatni dzień, poniedziałek. Zamiast tego więc — próba opisu, bardzo subiektywnego, różnej wagi spostrzeżeń, wrażeń które być może z czasem przyjdzie weryfikować.

Dla uczestników, zarówno tych, którzy zasiadali w fotelach delegatów, jak i dla zaproszonych gości, a także krążących po kuluarach (od czasu do czasu przepaszanych z nich) dziennikarzy — a wszystkich zmordowanych, mających za sobą niejedną zarwaną noc, pośpiesznie przełykane posiłki (nie takie znów godne pozazdroszczenia, jakby to mogło wynikać z enuncjacji jakiegoś mądrali z hoteli warszawskich), spore ubytki w portfelach (Warszawa to bardzo drogie miasto, co sięgniesz do portfela, to stówka, dwie, trzy leca). Zjazd ten, IX, Nadzwyczajny, pozostanie przeżyciem, które pamiętać będą do końca życia. Różni — zapewne z różnych powodów. Są jednak i powody ogólne.

Po pierwsze

— nie podczas tego zjazdu nie było od początku do końca wiadomo poza jednym — że musi zbudować nową konstrukcję partii: taką, która by uruchomiła ową siłę przewodnią, potrzebną dla wyjścia kraju z impasu i dla rozwoju. Co rusz spycha się porządek dnia, bo nie sposób było przewidzieć, ile czasu potrwa dyskusja nad jakąś sprawą. Przewrotność, ostrożność, a i nieufność kazali delegatom po kilkakroć wracać do różnych kwestii; wyraźnie było widać, że są pod presją wyborców śledzących pilnie relacje prasowe, radiowe i telewizyjne, a także sprawozdania płynące bezpośrednio od delegacji do instancji i organizacji partyjnych. Nie było to tak widoczne w transmisjach telewizyjnych przekazujących otwarte obrady plenarne — tu przeważały głosy uprzednio przygotowane; wrzenie następowało w bezpośrednich starciach dyskusyjnych i polemicznych podczas obrad zamkniętych, w trakcie których dyskutowano m. in. nad sprawozdaniem tzw. Komisji Grabskiego, nad kandydaturami, zwłaszcza „centralnymi”, do KC, a także nad kandydatami do władz najwyższych.

Skąd to wien, skoro obrady były zamknięte? Z drobiazgowych relacji delegatów, a także z przestuchanych taśm magnetofonowych przemycanych na salę. Także tymi taśmami zabezpieczali się niektórzy delegaci przed swymi wyborcami, kiedy ci będą od nich żądać namacalnie, czarno na białym, sprawozdania z tego, co robili i co się działo podczas zjazdu. Ze to naganne, a co najmniej niekonwencjonalne? Hm... Myślę, że przesadna była dbałość, nieskuteczna reszta, o zachowywanie tego rodzaju tajemnic. Nie by się zresztą też nie stało, gdyby w tych obradach mogli uczestniczyć również dziennikarze. Partyjni dziennikarze. Dyskusje były zdrowym, to gorącym, to zimnym prysnieniem, prowadzącym do oczyszczenia tego, co brudne, do przyspieszenia krwioobrotu, co jak wiadomo, korzystnie oddziaływać na mózg. Ataki „nie fair” spotykały się z natychmiastowymi ripostami, skakano sobie do oczu, nie raz fala sympatii przechylała się to w jedną, to w drugą stronę, ale w końcu debaty prowadziły do rozstrzygnięć wysoce praktycznych, tym bardziej przekonujących, że wypracowywanych nie na zasadzie realizowania z góry założonego scenariusza, kreującego bohaterów i konfliktów, lecz w ogniu sporów. Była to

dobra lekcja partyjnego działania i partyjnej odpowiedzialności; nie raz lekcję tę dawali sami delegaci delegatom. Nic więc zdziwnego w tym, że lekcja wyszła poza salę utajionych obrad. Przeciwnie, autentyzm tych debat najlepiej świadczy o autentyzmie zjazdu; gdyby nie miał okazji zetknąć się z nim, nie znałbym prawdy o najważniejszym wydarzeniu roku 1981, o jego temperaturze, o pasji kryjącej się za nim, o nadziei wreszcie.

Nie też dziwnego, że wybiórczy charakter początkowych relacji, zwłaszcza telewizyjnych ze zjazdu, a także enigmatyczne informacje o posiedzeniach zamkniętych, spotkały się z natychmiastową negatywną reakcją społeczną. Wietrzono w tym, słusznie, czy niesłusznie, — relacjonowanie bowiem bezpośrednie tego rodzaju obrad nie jest sprawą prostą — nawrót do starych, manipulacyjnych praktyk, domagano się szybko, możliwie najpewniejszej i możliwie najprawdziwej oddającej charakter i przebieg zjazdu, informacji prasowej, radiowej i telewizyjnej. (Notabene dziennikarze mieli na zjeździe trudne życie; gdyby pracowali wyłącznie metodami legalistycznymi, czytelnicy i słuchacze dowiedzieliby się znacznie mniej). O ile wiem, obrady, także ich część zamknięta, rejestrowane były w całości dla celów dokumentacyjnych. Nie widziałbym w tym nic zdrożnego, gdyby po ich opracowaniu — co nie znaczy zafalszowaniu — przedstawili te materiały publicznie. Prawda boli, ale i oczyszcza. Dowiedzielibyśmy się wtedy więcej o tym dlaczego, na jakiej podstawie — i każdy mógłby sobie wyrobić własny pogląd — rezultaty tzw. Komisji Grabskiego uznano za niewystarczające, jak odpowiadał na zadawane im w różnych dniach obrad pytania tow. tow. Czubicki, Moczar, Jabłoński i inni. Tajemnice państwowych i partyjnych w tym nie ma. Tak sądzę.

Po drugie

— zjazd ten miał wszelkie cechy forum walącego. Wynika to z tego, iż cała poprzedzająca go kampania także miała te cechy i nie przyniosła rozstrzygnięć; przeciwnie, starcie najostrzejsze nastąpiło prawie tuż przed nim, podczas XI Plenum. Krajobraz polityczny zjazdu — mowa nie tylko o samym gremium delegatów ale i o otocze zaproszonych i jakby mniej zaproszonych gości (na pytania zadawane przez dziennikarzy, a dotyczące obecności niektórych grup w kuluarach rzeczniczkarski parowski nie potrafił udzielić jednoznacznej odpowiedzi) — był bardzo szeroki. Od reprezentantów tzw. porozumień pozomłych po Katowickie Forum Partyjne. Od orientacji takich pism jak „Polityka” po orientację typu „Barwy”, „Rzeczywistość”. To bardzo dobrze, że na okres zjazdu nie położono pokrywki na politycznym kotle — dzięki temu wyraźniej jest widać kto jakie poglądy reprezentuje i o co komu chodzi. Mniej wyraźnie, choć też go można było dostrzec (zwłaszcza w trakcie obrad sobotnich) zarysował się ten front podczas debat otwartych, wyraźniej już w debatach zamkniętych, najwyraźniej zaś w kuluarach, gdzie krążyły różnego rodzaju ulotki, atakujące nie tyle poglądy, co już po prostu osoby. Do osób atakowanych najczęściej (nie tylko zresztą w kuluarach) należał Mieczysław F. Rakowski. Oto fragment ulotki jemu poświęconej:

„Z Oświadczenia Katowickiego Forum Partyjnego z dnia 9.07.1981 do Prezydium IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR: Duże wątpliwości budzi w nas stanowisko szeregu towarzyszy uczestniczących również dziś w aktywnej działalności partyjnej i państwowej na wysokich stanowiskach. Chodzi w tym wypadku o tow. Mieczysława F. Rakowskiego, który jako członek KC ponosi również odpowiedzialność za kierunek polityki realizowanej w poprzednim okresie. Dzięki niemu tę

błądną politykę uzasadniano na łamach kierowanego przez niego tygodnika „Polityka”. Udzielał on sprzecznych z ideologią naszej partii wypowiedzi burżuazyjnej prasy na Zachodzie. Dla zamaskowania swego rzeczywistego programu politycznego bardzo często zmieniał swoje stanowisko polityczne.

W załączeniu tekst uzasadniający wątpliwości towarzyszy Katowickiego Forum”.

Do ulotki dopięty został odbity na powielaczku artykuł Rakowskiego z roku 1975, który, istotnie, jeśli czyta się go dziś, może wywołać wzruszenie ramion nad ówczesną naiwnością (?) publicysty. Atakować jednak M.F.R. za linie „Polityki”, której artykuł ten był, być może, taktycznym uzupełnieniem? Za „Politykę”, która w ostatnim dziesięcioleciu, była jednym z bardzo nielicznych pism, którym udawało się pisać prawdę? Toż to czysta demagogia obliczona na posłanie wyborczego zamętu. Mniej wybredne ulotki, dotyczyły i innych osób, niestety, nie udało mi się ich (ulotek) zdobyć na własność. Rezultatem takiegoż działania, jak sądzę, był też ten niefortunny fragment wystąpienia Albin Siwaka, w którym według mówcy „prezes dziennikarzy polskich, towarzysze Bratkowski, publicznie, podkreślam, określili nasz zjazd, a myślę, że tu i o wasze uczucia chodzi: 3 proc. — to porządni członkowie na tym zjeździe, 10 — to odnowiciele, reszta błoto”. Komisja powołana na skutek protestu S. Bratkowskiego („nigdy, ani w mowie, ani w piśmie, ani publicznie, ani prywatnie nie wyrażałem się pogardliwie o delegatach na zjazd”), ustaliła tylko to, że taką informację otrzymał tow. Siwak od jakichś czterech dziennikarzy. (Można się domyślać, jakie orientacji). No cóż, można walczyć z poglądami tow. Bratkowskiego, można samego Bratkowskiego nie lubić — każdy ma do tego prawo; nie mogą się jednak oprzeć przed sparafrazowaniem wypowiedzi tow. Siwaka zwróconej do tow. Kani: Ganię Was, towarzyszu Albinie, za uleganie demagogii, za to, że posługujecie się informacjami płynącymi z wątpliwych źródeł. Prawda ma być prawdą dla każdego Polaka. Bez prawdy zagryziemy się nawzajem.

Demagogii, pomówień, wręcz oszczerstw, krążyło po kuluarach wiele. Także po kuluarach dziennikarskich. Otóż dowiedziałem się tam m. in. że całe środowisko dziennikarskie Łodzi wystąpiło w obronie red. Samitowskiego, śląc mu braterskie pozdrowienia, że ten i ów należy do KSS „KOR” (bo nie podoba mu się ZP „Grunwald” bądź pismo „Rzeczywistość”), że ktoś tam w Warszawie z dziewczynkami, a ktoś z chłopcami. Jak z tego widać, front walki przebiegał także w środowisku dziennikarskim. W sobotę wieczorem gruchnęła zrucona w bract dziennikarską plotka, że jeden z wysokich warszawskich działaczy partyjnych zabił własnie samochodem przechodzącą po pasach kobietę. Jak wiele innych, plotka ta okazała się prowokacyjnym wymysłem.

Usiłowały więc pewne koła wykorzystać zjazd dla przeprowadzenia niegodnych tego wydarzenia działań manipulacyjnych i prowokacyjnych. Aby uniknąć ich wpływu na dalszy przebieg obrad, delegaci zdecydowali, iż od niedzieli poczynając, dziennikarze nie będą mieli prawa wstępu do kuluarów Sali Kongresowej. Tym razem decyzja ta spotkała się ze zrozumieniem. Protestów nie było, wobec czytelników intencji i zrozumiałych racji. Ci, którym protest, w takiej sytuacji, byłby na rękę, znaleźli się w mniejszości.

Ot, zjazdowy folklor.

Po trzecie

był to zjazd prawdziwie robotniczy. Rzeczywiście robotnicy i rolnicy nadawali mu ton, temperaturę i barwę, oni przesadzili o jego przebiegu i wynikach. Oni przede wszystkim

dobijali się o konsekwentne rozliczenie osób winnych kryzysu, nie dopuszczając do ustępstw i niedomówień, bezpardonowo żądając wyciągnięcia wszelkich możliwych konsekwencji, zgodnych z poczuciem sprawiedliwości społecznej. Oni najostrzej atakowali wszelkie nieprawości i nieprawidłowości także podczas posiedzeń zespołów zjazdowych. Był może taki stosunek robotniczej części delegatów na zjazd do zadań, jakie mają spełnić, zaważył na tym, iż z kraju poczęły napływać niecierpliwe depeche z żądaniem o przyspieszenie programu. Był może dlatego obrady przedłużały się ponad zamierzony harmonogram. Inaczej jednak ten zjazd przebiegać nie mógł. Doszli bowiem robotnicy, nie podczas zjazdu zresztą, a wcześniej, dużo wcześniej, do słusznego wniosku, że nie można budować nowego bez rozliczenia się ze starym, czego nauczył ich chociażby rok 1956.

zjazdowych. Nie był ten zjazd odizolowany od rzeczywistości, nikt tym razem nie stawiał tamy prawdzie, nikt tym razem nie podkolorowywał świata. Delegaci wyjdą z autokarów i znów staną w kolejkach po mięso, kaszę, papierosy. Kiedy dotarłem do parkingu, na którym pozostawiłem samochód, starszy człowiek w okienku spytał: — A daleko pan był? Za granicą?

— Nie, w Warszawie.
— Nie na zjeździe chyba?
— Na zjeździe.
— No i coście załatwili?
— Czy ja wiem? Mówić to można dużo...

— Pewnie, gorzej z robotą. Ja tu, panie, widzę budowę naprzeciwko. Przychodzą na ósmą, zaczynają o dziewiątej, kończą o drugiej. Żeby to jeszcze robili. Ale gdzie tam. I do czwartej już się tylko snują. Panie, tak jest wszędzie, ludzie już się



Zakończenie obrad IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR.

Foto: CAF

Nie mogło to pozostać bez wpływu na wyniki wyborów do Komitetu Centralnego. W nowym KC znalazł się znacznie większy procent robotników i chłopów niż wśród ogółu delegatów. Wybrani zostali w demokratycznych wyborach, imponując swą postawą, wypływającą z poczucia wartości i siły.

Czy zjazd mógł

przebiegać sprawniej, szybciej? Teoretycznie na pewno tak. Praktycznie — nie. Ponad 90 proc. delegatów uczestniczyło w takim zgromadzeniu po raz pierwszy. Wielu z nich nie ma doświadczenia w dyskusyjnych bojach, niekiedy nie umie jeszcze poprawnie formułować ripost i wniosków, popełnia niezręczności. Kiedy jednak spytałem kolegę dziennikarza, weterana zjazdowego, co o tym myśli, co myśli o delegatach, odpowiedź brzmiała prosto. Wiele z poprzednich zjazdów mogło od strony ich przebiegu, od strony formy wystąpienia delegatów, wyglądać lepiej. Nie można jednak zapominać, że w przypadku znakomitej większości tamtych wystąpień, delegaci byli tylko środkiem przekazu. Tutaj w znakomitej większości mówią to co chcą i jak chcą — oni sami i ich wyborcy — a nie instancje. Tamte zjazdy może były ładniejsze, ten natomiast jest lepszy, bo prawdziwszy.

Z pełną determinacją uczestnicy zjazdu nie raz deklarowali, iż nie zaprzestają obrad, dopóki cele tego zgromadzenia nie zostaną zrealizowane. Nie dostosowywano się więc do harmonogramu, lecz harmonogram przystosowano do bieżących konieczności. Zjazd musiał załatwić zbyt wiele, aby można się było krepować formalnymi, sztywnymi ograniczeniami.

Oby to samozaparcie, odwaga cywilna, nieskrępowanie, towarzyszyło im w dalszej drodze.

Rzeczywistość

Natępne obrazy rzeczywistości ciągle pojawiały się w wystąpieniach

robić oduczyli. Jak przyjdzie kiedy wojsko, to wszystko kręci się jak fryga. Ale na co dzień, gdzie tam...

Pewnie, gadaniem wiele się nie zrobi, chyba że się wymyśli sposoby na to, aby co dzień wszyscy kręcili się w pracy jak frygi. Klasa robotnicza poczuła swą siłę. Czy jednak cała klasa robotnicza czuje odpowiedzialność za to, co się w kraju dzieje? Klasa robotnicza, chłopstwo, administracja i wszyscy inni? Coś mi na to nie wygląda. Nie wszystkie niedobory da się wytłumaczyć kryzysem gospodarczym. Istnieje także, groźnie się rozwija, kryzys odpowiedzialności. Odpowiedzialności za to, co się samemu robi. Miliony ludzi są w gruncie rzeczy bierne, całym milionem nie chce się palcem ruszyć, aby zacząć coś naprawiać. Postępuje proces wygaszania energii kierowanej na zewnątrz, cała ona kierowana jest do wewnątrz, od siebie. Postępuje ten proces z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień. Pewno, ma on swoje głębokie przyczyny, a ma też przyczyny łatwo zauważalne, jak choćby zmęczenie wywołane trudami życia, przechodzące w apatię, powodujące wybuchy wściekłości.

Czy zdołamy ten proces, grożący samounicestwieniem, zahamować? Zjazd dowiódł, że istnieją jeszcze, że nie wygasły, siły motoryczne, żywiące się nadzieją i perspektywą. Rzecz teraz w tym aby bezzwłocznie, bez straty czasu, umieć spożytkować te siły tak, aby wzbudziły energetyczne echo. W przeciwnym razie nie pomoże nam najsensowniejsza nawet reforma gospodarcza, nie pomogą kolejne kredyty, bo nie potrafimy ich spożytkować.

Zjazd wybrał nowe władze, jest wśród nich wielu nowych ludzi. W Komitecie Centralnym mamy 9 nowych reprezentantów, jednego w Biurze Politycznym. Zwykło się z takich okazji składać gratulacje; czy jednak w tej sytuacji jest to stosowne? Czekaj, ich przede wszystkim ciężka harówka. Zczyńmy im więc skromnie — siły i cierpliwości.

20 lipca 1981

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁĄŻEJSKI, KONRAD FREJDICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDEK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, MAREK MILLER, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOJENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).
Stałe współpracownicy: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, ŁUCJUSZ WŁODKOWSKI.
Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSZYNA SARDECKA.

Niemal w rok po sierpniowym proteście klasy robotniczej, który zmienił perspektywę widzenia spraw w naszym kraju, doczekaliśmy się wreszcie rządowego raportu o stanie gospodarki. Mówienie o tym, że jest to dokument grubo spóźniony, wydaje się więc oczywistością. Niestety, za tą konstatacją, kryje się także społeczny rachunek kosztów dodatkowych spowodowanych zwłoką w opracowaniu dokumentu, którego poprzednią wersję nie tylko obśmiali dziennikarze i wydrwiło społeczeństwo, ale także odrzuciła Sejmowa Komisja Planu Gospodarczego, Budżetu i Finansów. Szkoda tylko, że frycowe za radosną twórczość naszej biurokracji płacimy wszyscy pogarszając się z dnia na dzień jakością życia.

Raport, który dotarł do naszych rąk w przededniu IX Nadzwyczajnego Zjazdu partii, jest dziełem kolektywnym, ale nie całkiem anonimowym. Firmuje go przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów Henryk Kisiel. We wprowadzeniu do tego dokumentu podkreśla się, że premier-generał powołał równoległe zespoły opiniotwórcze pracujące niezależnie od organów rządowych, złożony z wybitnych ekonomistów, którym przewodniczył prof. Czesław Bobrowski. Ich opracowanie, a także uwagi Wydziału I Nauk Społecznych Polskiej Akademii Nauk pod przewodnictwem prof. Władysława Markiewicza uwzględnione zostały w raporcie.

Miał on na celu ukazanie mechanizmów, które doprowadziły do śmiertelnej choroby naszej gospodarki charakteryzującej się pustymi półkami sklepowymi, tasiemcowymi kolejkami i niepewnością jutra w zaspokajaniu najelemenniejszych potrzeb ludzkich. Rozpoznanie tych mechanizmów jest niezbędne nie tylko do reanimacji, która, jak na razie, nie przyniosła żadnych widocznych rezultatów, ale także do zapobieżenia groźnemu zawałowi w przyszłości. Niestety, nie wydaje się, aby raport te mechanizmy neglizował do końca, choć w zasadzie stara się mówić bez niedomówień. Jego słabością jest to, że autorzy nie uczestniczyli w opisie faktów, z których wywodzą swoje wnioski i refleksje ogólniejszej natury zawierając w tym względzie, choć nie bezkrytycznie, wersję odrzuconej. Nic też dziwnego, że udzielając wielu odpowiedzi na temat przyczyn obecnego kryzysu, raport pozostawia wiele pytań nie rozstrzygniętych. I nie chodzi tu bynajmniej tylko o kwestie personalnej odpowiedzialności za błędy w polityce społeczno-gospodarczej, które doprowadziły do wynaturzeń w kierowaniu państwem stojącym po dziesięcioletnich rządach ekipy Gierka nad skrajem przepaści.

Raport operuje skalą dziesięciu lat budowy „drugiej Polski”, chociaż podkreśla, że nie wszystkie wynaturzenia gospodarcze można zapisać na rachunek minionej dekady. Trzeba pamiętać, że Gierkę przejmował kierownictwo w partii także w momencie głębokiego kryzysu, kiedy na Wybrzeżu ledwie przebrzmiały salwy oddane do robotników. Udało mu się dość szybko wyprowadzić kraj z kryzysu społecznego, ale błędy gospodarcze leżące u podłoża grudniowego protestu nie tylko nie zostały naprawione, ale nawarstwiane całymi latami i rugowane ze świadomości przy pomocy propagandy sukcesu, spiętrzyły się wreszcie powodując grubo głośniejszy w swoich skutkach krach. Jego pierwszym symptomem był datujący się już od roku 1979 spadek dochodu narodowego, którego nie mogły powstrzymać chaotyczne działania naprawcze mające odwrócić moment katastrofy. Były to w istocie wysiłki bezowocne przypominające próbę gaszenia pożaru najdroższymi gatunkami szampana.

Po Sierpniu ub. r. dla każdego trzeźwo patrzącego obserwatora stało się jasne, że efektywność gospodarowania w kraju jest tyle, co żadna i to bynajmniej nie tylko z powodu strajków a spadków produkcji materialnej towarzyszy niepełne wykorzystanie potencjału przemysłowego przy równoczesnym obniżeniu się wydajności i dyscypliny pracy. Były to zjawiska, których nie umiano dostrzec przed robotniczym protestem, chociaż już w dyskusji poprzedzającej VIII Zjazd, prawda, że wygaszone bez wyciągnięcia właściwych wniosków, konstatowano głęboką nierównowagę ekonomiczną między ilością pieniędzy w ręku ludności na rynku a podażą towarów i usług, w bilansie handlowym i płatniczym, w zaopatrzeniu surowcowym, w rozdetych ponad wszelkie wyobrażenie inwestycjach, których nie mogły uratować podejmowane rozpaczliwie manewry gospodarcze, w budżecie państwa poddawanych po znachorsku korekturom.

Ekonomiści wszystkich odcieni, a za nimi autorzy raportu krzyczą od miesięcy o „luce inflacyjnej”, „nawisie inflacyjnym”, itp., którym towarzyszy gwałtowne znikanie wszelkich dóbr i żywiołowy rozwój czarnego rynku. Raport ocenia niedobór podaży towarów i usług w stosunku do bieżących przychodów ludności na 470 mld zł, co odpowiada czwartej części przychodów pieniężnych netto. Łącznie z zasobami gotówki, która wcześniej nie została wydatkowana na rynku tworząc nawis inflacyjny, raport ocenia nadwyżkę pieniędzy w ręku ludności na 600–800 mld zł, co stanowi przeszło trzecią część rocznych przychodów. Nawis ten powiększył się gwałtownie w ciągu ostatnich miesięcy w następstwie postrajkowych podwyżek płac. „Wałęsówka” i towarzyszące jej zwiększone świadczenia socjalne rozłożyły rynek i spowodowały konieczność regulacji wielu artykułów.

Ale raport nie odpowiada, niestety, na pytanie dlaczego mimo wprowadzonej regulacji, co równoznaczne jest przecież z wprowadzeniem innego, jakby lepszego pieniądza, za który kupujemy część podstawowych towarów, zaopatrzenie w nie rynku wcale się nie poprawiło. Wiele kartek pozostaje przecież czekami bez pokrycia, choć dotyczy minimum biologicznego i niezaspokojenie potrzeb w dziedzinie wyżywienia objętego systemem rozdzielnictwa nie da się wytłumaczyć samym nawisem inflacyjnym. Przyczyny tego zjawiska można tylko dedukować z dalszych sformułowań raportu, który stwierdza, że od sierpnia ub. r. występuje stały spadek produkcji przemysłowej, w tym produkcji przeznaczanej na rynek. Autorzy dodają ostrożnie, że do tego zjawiska przyczyniło się „w pewnym mierzcie” skrócenie tygodniowego czasu pracy czyli wolne soboty wprowadzone z początkiem roku. Raport podaje, że od lipca 1980 do maja 1981 r. produkcja przemysłowa obniżyła się o ok. 130 mld, w tym przeznaczona bezpośrednio na rynek o 40 mld zł. A jednocześnie docho-

dzi co odpowiada naszym pięcioletnim możliwościom. Najbardziej bolesne jest to, że wśród tych kwot zamrożonych 60 mld stanowiło wartość zakupionych za ciężkie dewizy maszyn i urządzeń, które stoją pod gołym niebem na skutek opóźnień w robotach budowlano-montażowych.

Niewydolność finansowa sprawiła, że w końcu roku 1980 trzeba było podjąć decyzję o przerwaniu realizacji ponad tysiąca inwestycji, w tym blisko pięćdziesięciu wielkich, na miarę „drugiej Polski”. Nie oznacza to końca tych ograniczeń, podkreśla raport, mimo strat gospodarczych jakie poniesiemy z tego tytułu. Struktura inwestycji rozpoczętych jest bowiem tego rodzaju, że miały produkować dobra inwestycyjne, których i tak nie można by było wykorzystać ze względu na braki zaopatrzeniowe.

Wszystkie te przerosty sprawiły, że załamała się równowaga finansowa państwa. W roku 1980, po raz pierwszy od trzydziestu jeden lat,

KONRAD FREIDLICH

W ROK PO ZAWALE (I)

dy ludności wzrosły o 140 mld zł. Mamy więc do czynienia ze swoistym rozwiercaniem się nożyc: towarów jest coraz mniej a pieniędzy coraz więcej przy jednoczesnym pomniejszaniu się zapasów w handlu w postępie arytmetycznym, co uniemożliwia utrzymanie ciągłości sprzedaży. Trudności na rynku pogłębia wadliwa struktura cen.

Równie dramatyczna sytuacja występuje w handlu zagranicznym i bilansie płatniczym państwa. Nasze zadłużenie z krajami kapitalistycznymi wynoszące w końcu ub. roku 23 mld dolarów wzrosło na koniec kwietnia br. o dodatkowy miliard plus półtora miliarda w kredytach krótkoterminowych. Poziom zadłużenia był wyższy trzy i pół raza od rocznego eksportu do krajów kapitalistycznych. Przypadająca na rok bieżący raty kredytu i odsetki przekroczyły jednocześnie wartość całorocznego eksportu. I jakby tego nie wystarczyło niebezpiecznie skróciła się wymagalność tych spłat. Raport nie ukrywa, że wszystkie nasze wpływy dewizowe z eksportu służą obsłudze zadłużenia. W tej sytuacji import na bieżąco potrzeby gospodarcze, import, na który jesteśmy skazani, ze względu na konieczność uzupełnienia części zamiennych do nowoczesnych maszyn i komponentów surowcowych do nowoczesnych technologii, wymaga uzyskania nowych kredytów na Zachodzie, które raport ocenia w bieżącym roku na 3 mld dolarów tylko dla podtrzymania produkcji na dotychczasowym poziomie. Dodajmy, że nasze zadłużenie na Wschodzie wynosi obecnie półtora miliona rubli transferowych. W sumie tej nie ma blisko pół miliarda dolarów, które otrzymaliśmy ostatnio od Związku Radzieckiego w formie bezzwrotnej pomocy.

Już ten opis sytuacji wystarczy do stwierdzenia, że nasza gospodarka jest chora, a chorobę pogłębiają dysproporcje w zaopatrzeniu materiałowym przemysłu. Niedobór węgla szacowany na 12–15 mld ton odbija się niekorzystnie na możliwościach produkcyjnych wszystkich gałęzi przemysłu. Skrócenie czasu pracy w górnictwie, stwierdza raport, spowodowało spadek wydobycia węgla o jedną piątą w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego. Ocenia się także, że wydobycie to może być niższe o 40 mln ton niż w roku 1979.

Temu spadkowi wydobycia węgla towarzyszy ostry deficyt produkcji energii elektrycznej. Zła jakość opału i wyeksploatowanie urządzeń sprawiają, że piąta część potencjału naszych elektrowni jest nie wykorzystywana pogłębiając deficyt energii. Podobne zjawiska obserwujemy w innych gałęziach przemysłu zwłaszcza w przemyśle chemicznym. Swego czasu jakiś urzędnik beztropko wykreślił z planu fabrykę akumulatorów. Dziś płacimy za tę nieodpowiedzialną decyzję paskarską cenę. Piąta część taboru samochodowego stoi uwięzioną na skutek braku części zamiennych, akumulatorów i ogumienia. Nasz transport, który nie mógł sprostać potrzebom przewozowym, wciąż nie może się podnieść, gdyż do starych kłopotów dołączyły się teraz trudności paliwowe, o czym zresztą raport już nie wspomina.

Ale największe marnotrawstwo i najwięcej nonsensów towarzyszyło w minionej dekadzie polityce inwestycyjnej. I w tej dziedzinie zapłaciśmy koszty największe. W roku 1980 wartość zamrożonych w nie ukończonych budowach środków pieniężnych zamknęła się kwotą 800 mld zł. Aby ukończyć te budowale należałoby wydatkować dodatkowo jeszcze 1300 mld

wystąpił deficyt budżetowy w wysokości 26 mld złotych. W planie na rok 1981 założono deficyt 120 mld zł. Raport stwierdza, że ten deficyt może się pogłębić o czym świadczą doświadczenia pierwszych miesięcy. W optyce Sierpnia nasza gospodarka wciąż więc znajduje się na krawędzi katastrofy. Dlatego tak istotne wydają się pytania o źródła kryzysu i drogi wyjścia z katastrofy.

W świetle raportu przyczyny kryzysu, który zaczął się w roku 1979, choć sięga korzeniami roku 1974, są wielorakie i złożone.

Po stagnacji lat sześćdziesiątych nowa dekada, związana ze zmianą ekipy rządzącej, rozpoczęła się pod znakiem „strategii dynamicznego rozwoju”. Rozrzućmyśmy miarę byle zagraniczne kredyty pozwalające na unowocześnienie gospodarki. Zakładano przy tym, że nastąpi automatycznie wzrost eksportu do najwyższych rozwiniętych krajów kapitalistycznych, co umożliwił samospłatę długów. Strategia ta miała szanse powodzenia przy wzroście wydajności pracy i racjonalnym gospodarowaniu. Tymczasem realizowano ją sposobami chałupniczymi poprzez rozbuchanie inwestycji i nie kontrolowany wzrost zatrudnienia. Jednocześnie wzrastało uzależnienie od importu materiałowego i kooperacyjnego co przy niedostatku środków dewizowych doprowadziło do swobodnych pustostanów. Znaczna część nowoczesnego przemysłu była więc od początku nie wykorzystana i pracowała na pół pary. Mimo to rozpoczynano kolejne inwestycje. Skutki tej bezrefleksyjności nie dały na siebie długo czekać. Już w 1974 roku stało się jasne, że liczba zagrożeń dla gospodarki przewyższa faktycznie korzyści „strategii dynamicznego rozwoju”. Ale twórcy tej koncepcji nie chcieli tego dostrzec. Negatywne zjawiska korygowano przy pomocy chaotycznych środków zaradczych odsuwając je w czasie. Fałd powodziawa wzbierała i nie nadążano z sypaniem wałów, w których pojawiało się coraz więcej szczelin.

Przykładem działań doraźnych jest choćby problem górnictwa węglowego, w którego rozbudowę zaangażowano ponad 200 mld zł. Jednocześnie jednak rozbudowywano wyjątkowo energochłonne przemysły, które zużyły z nadmiarem przyrost wydobycia węgla stanowiącego w naszych warunkach twardą walutę pozabawiając nas efektów importowych. Takim energo- i materiałochłonnym obiektem stał się symbol epoki gierkowskiej: huta Katowice, której pierwszy tylko etap pochłonął 175 mld zł. Hutę tę zrealizowano poza planem burząc tym samym chwalebna równowagę gospodarczą kraju wbrew ostrzeżeniom ekspertów krajowych i radzieckich. Nastawiona na produkcję wyrobów ciężkich, których nadmiar na rynkach światowych, przyczyniła się do tego, że za tę nie trafioną inwestycję płacimy wyjątkowo wysoki haracz. Mimo ogromnej huty musielismy sprowadzać z zagranicy wyroby kwalifikowane po cenach czterokrotnie wyższych niż uzyskane przez nas w eksporcie.

Nie trafione okazało się także nasze zaangażowanie w przemyśle samochodowym, słabo konkurencyjnym w stosunku do wysoko rozwiniętych krajów. Jeszcze więcej krytyki wzbudziła decyzja produkcji telewizorów kolorowych przy kompletnym zaniedbaniu produkcji leków, artykułów chemii gospodarczej i materiałów dla budownictwa mieszkaniowego. Raport stwierdza:

W latach siedemdziesiątych nie podjęto działań koniecznych dla stworzenia branży przemy-

ślu wyspecjalizowanych w produkcji eksportowej. W konsekwencji takiej polityki inwestycyjnej struktura polskiego przemysłu w roku 1980 jest z punktu widzenia możliwości zaspokojenia potrzeb, wykorzystania surowców krajowych oraz efektywności mniej korzystna niż była w roku 1970.

Słabościom przemysłu towarzyszyły karygodne błędy w polityce rolnej. Od roku 1976, roku pamiętnej podwyżki cen artykułów spożywczych, która spowodowała sprzeciw robotników Radomia, nastąpił regres dostaw podstawowych środków produkcji dla rolnictwa. Ukoronował on trwającą od 1974 roku politykę niszczenia chłopów, głównie poprzez faktyczne uniemożliwienie nabywania ziemi. Tym zjawiskom towarzyszyło obniżenie opłacalności hodowli i produkcji roślinnej wskutek wadliwej polityki cen skupu. Podczas gdy na wsi szerzyła się biurokracja we wszystkich ogniwach władzy, brak perspektyw powodował gwałtowny odpływ młodzi, co dodatkowo osłabiało i tak już ledwie dyszące rolnictwo. Dało to o sobie znać gwałtownym spadkiem hodowli, którą rekompensowano produkcją zwierzęcą w gospodarstwach upośledzonych nie licząc się z jakimikolwiek kosztami. W te działania zaangażowano ponad 500 mld zł pod hasłem „Wszystko dla rolnictwa”. Środki te, na skutek nieracjonalnego wykorzystania, zostały w poważnym stopniu zmarnowane.

Stagnacja w rolnictwie spowodowała konieczność importu zbóż i pasz na łączną kwotę 8,5 mld dolarów co odpowiada wartości trzeciej części krajowej produkcji zbóż w całej dekadzie. Środki te zostały po prostu przejezdzone.

Zarazem uległ likwidacji drobny przemysł który charakteryzował się najlepszymi wynikami ekonomicznymi i stanowił istotne źródło produkcji rynkowej. Ruiny uległy młynom, masarniom, miedzarniom, cegielniom. Zlikwidowano spółdzielnie farmaceutyczne powiększając deficyt leków. Restrykcje dotknęły także rzemiosło. Wszystko, co małe, nie miało prawa do istnienia, bowiem nie było godne „drugiej Polski”. Nie trzeba dodawać, że te tendencje likwidatorskie przyniosły straty, które usiłowano zrównoważyć importem mimo deficytu bilansu handlowego. „Stopniowo — stwierdza raport — wzrastał udział zakupów kredytowych także w zaspokojeniu bieżących potrzeb produkcyjnych i konsumpcyjnych”. Sytuacja płatnicza Polski stawała się w tych warunkach coraz trudniejsza, wzrastało oprocentowanie i skracali się terminy spłat.

Odwołajmy się znów do raportu, który stwierdza:

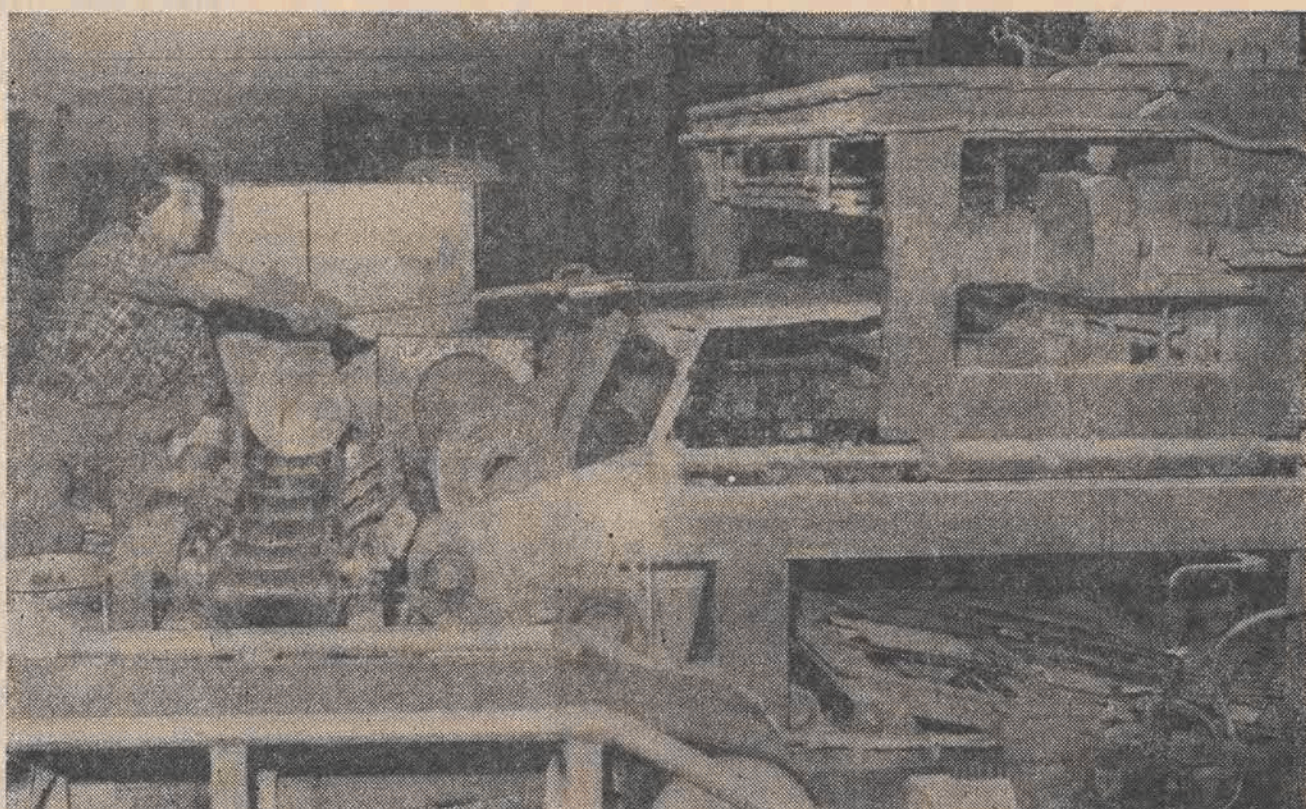
W roku 1976 po pokryciu zobowiązań płatniczych na potrzeby importu pozostało tylko ok. 64 proc. całości wpływów z eksportu towarów i usług, w roku 1977 już tylko 44 proc., w roku 1978 około 39 proc., w roku 1979 około 25 proc., a w roku 1980 zaledwie 18 proc.

W porządku tych cyfr widać jak na dłoni narastanie sytuacji kryzysowej. Powstała swowista kwadratura koła. Przeinwestowanie spowodowało przerażające nasze siły zadłużenie, a niewłaściwe wykorzystanie kredytów nie pozwoliło osiągnąć efektów pozwalających na spłatę zadłużenia i obsługę rynku wewnętrznego. Wzrost zadłużenia ograniczał możliwości importowe na potrzeby bieżące co rzutowało na braki zaopatrzenia w surowce i materiały nowoczesnego przemysłu. W ten sposób ulegały zerwaniu więzi kooperacyjne prowadzące do przerw w produkcji i spadku jej poziomu ograniczając nasze możliwości eksportowe. Kółeczko zamykało się.

Raport stwierdza, że „strategia dynamicznego rozwoju” przynosiła rezultaty zbliżone do zamierzonych tylko w pierwszych trzech latach minionej dekady. Ale korzystny trend trwał krótko i w roku 1973 nastąpiło pierwsze tapnięcie. Istniała wszakże szansa przywrócenia równowagi poprzez zmniejszenia tempa wzrostu inwestycji. Niestety, nie uczyniono tego realizując jednocześnie w przyspieszonym tempie program podwyżek płac, które miały stanowić efekt propagandowy trzydziestolecia PRL. W rok później było już za późno, czego wyrazem był osławiony manewr gospodarczy, który niczego nie załatwił. Była to w istocie zabojezja dla kraju polityka odraczania kryzysu za wszelką cenę, co spowodowało jego pogłębianie. Ceną tego odraczania był przede wszystkim spadek efektywności gospodarowania.

Nieefektywność — stwierdza raport — była rezultatem błędnego kształtowania struktur przemysłu, błędów w polityce rolnej, stosowania mechanizmu ekonomicznego, który forsował wzrost ilościowy produkcji przy nadmiernym zużyciu energii i materiałów, hamowania procesów innowacyjnych, złej jakości produkcji. Aczkolwiek ilościowa ocena skali nieefektywności — podobnie jak innych zjawisk makroekonomicznych — jest sprawą bardzo trudną, można stwierdzić, że w przypadku stosowania w rzeczywistości, a nie tylko weralnie polityki nastawionej na poprawę efektywności na pewno nie byłoby tak głębokiego kryzysu. Wymagało to jednak wejścia od dawna na drogę reform gospodarczych oraz reform społeczno-instytucjonalnych, zapewniających rzeczywisty udział społeczeństwa w procesie podejmowania podstawowych decyzji rozwojowych.

Można by rzec: mądry Polak po szkodzi. Ale raport zestawiając katalog popełnionych błędów ma na celu uprzytomnienie ich całemu społeczeństwu, aby nie mogły się powtórzyć w przyszłości.



Ciąg dalszy ze str. 1
montować, albo nowy zakład. Wybrano wariant drugi. Wówczas rozpoczęły się studia map. Jako podstawowy warunek lokalizacji brano pod uwagę to, aby do nowo projektowanego zakładu było możliwe najbliżej z najbardziej oddalonego krańca Polski (chodziło o dostawy surowca i odbiór produktów gotowych). Wybór padł na Zduńską Wólę, tym bardziej, że władze lokalne twierdziły, iż w takim mieście, gdzie przeżywa wiłko, występuje nadmiar męskiej siły roboczej.

Tak oto, gdzieś w kwietniu 1975 r. odbyło się uroczyste poczęcie kolejnego giganta. Wmurowano kamień węgielny, wygłoszono mowy okolicznościowe, wypito co w takich sytuacjach należy — i zaczęło się!

Głos ma dyrektor naczelny „Izolacji” mgr WALDEMAR ZMACZYŃSKI (energiczny, zdecydowany, ale sprawiający wrażenie jakby miał już dość tej pracy, choć jest tu zaledwie rok czasu): Jestem kolejnym dyrektorem, ale nie wiem jak długo wytrzymam. Zakład buduje się od 1975 r. i jest ciągle nie skończony. Dotychczas nie oddano: warsztatu mechanicznego w zakładzie papy, magazynu technicznego, magazynu paliw. Niby są to drobne elementy, ale one decydują o pracy całego za-

wraz z nią EC było wielką nadzieją i szansą.

U nas wszystko jest piękne w fazie projektów. Nawet najbardziej wytrawni działacze zapominają o trudach na jakie napotyka realizacja czegośkolwiek. Jakos tak łatwo przyjmuje się zatwierdzone plany, wierzy się, że skoro w dokumencie stoi, że rozruch czegoś nastąpi w określonym czasie, to istotnie w tym czasie maszyny pójdą w ruch i zacznie się produkcja. Nikt nie chce pamiętać, że później całe komisje pracują nad ustalaniem coraz to nowych terminów. Tak też się stało z „Izolacją” i z EC. Niestety, my bez ciepła nie możemy funkcjonować. W tym roku często staliśmy. Na dobrą sprawę surowiec można byłoby ściągnąć z przestarzałych fabryczek, ale co by to dało? Niewiele, gdyż nasz zakład nie jest wykończony, nie mamy pełnych możliwości, nie mamy ciepła...

EC spędza nam sen z oczu. Na ten temat prowadziliśmy rozmowy z Przedsiębiorstwem Elektrycznym i Przemysłu „Energoblok” w Koninie, ze Zjednoczeniem Budownictwa Energetycznego „Energobudowa” w Warszawie, z Ministerstwem Budownictwa i Materiałów Budowlanych, z Ministerstwem Energetyki i Energii Atomowej, z Komitetem Centralnym PZPR, złożyliśmy interpelację w Sejmie. Nasi związkowcy ze swej strony interweniowali w swoim ZG NSZZ Pracowników Budownictwa i Spółdzielczości Mieszkaniowej. I nie. Wszyscy tylko przyrzekają, obiecują, pocieszają. Ale zamiast konkretnej pomocy otrzymujemy nowe harmonogramy, potem następne. Uważam, że jest to wielkie kłamstwo, brak odwagi by powiedzieć nam prawdę. Znajdujemy się w jakimś zaczerwonym kręgu, z którego niepodobna wyjść. Bo co z tego, że co roku otrzymujemy ze swojego resortu niezbędne limity finansowo-inwestycyjne, skoro nie mogą tych limitów wykorzystywać. W ub. r. nie wykorzystaliśmy 90 mln zł, w tym za I półrocze zużyliśmy zaledwie 20 mln. Co dalej?

Właśnie, co dalej? To pytanie przewija się nieustannie, powtarzają je pracownicy z produkcji, którzy boją się, że zakład może lada dzień stanąć, a już na pewno zimą będą brać przymusowe urlopy. Co dalej? — pytają inżynierowie, dyrektorzy, budowniczy EC.

Miał tu być produkowane wszystkie asortymenty papy, a także, wymienione na wstępie tworzywa hydroizolacyjne. Zgodnie z założeniami projektowymi ze Zduńskiej Woli co roku miało odjeżdżać 100 mln metrów kw. papy i 35 tys. ton tworzyw izolacyjnych. W praktyce wygląda to tak: w zeszłym roku wyprodukowano zaledwie 30 mln m. kw. papy i własnym sumptem zmontowano aparaturę do produkcji dyspersyjnych mas asfaltowo-gumowych (jest to tworzywo z gatunku pokryć bezpapowych, taka półpłynna masa, którą się rozkłada przy renowacji dachów, a która otrzymywała nazwę „Bitgum”). Też masy wyprodukowano, o ironio! 80 ton tytułem próby. O przyczynach tego stanu rzeczy wspominałem wyżej: brak surowców i ciepła. Hala produkcyjna jest nie ogrzewana i przy temperaturach minusowych papa nie daje się zwijać. Tak jest zimą. Ale postójcie się także latem: 7 dni w kwietniu, 18 dni w czerwcu. A wszystko z braku asfaltu, którego w III kw. br. „Izolacja” otrzymała o połowę mniej niż wynosiły jej aktualne potrzeby. Asfalt jest pochodną destylacji ropy naftowej, ale placówka rafineria nie reaguje na monity, ma

WRÓŻENIE Z FUSÓW



Foto: T. Misiak

Zakłady Przemysłu Meblarskiego w Radomsku to swego rodzaju kombinat meblowy zatrudniający 4500 osób, w którym, prócz mebli, produkuje się także płyty wiórowe, okleiny i deseczki sklejkowe, fryzy meblarskie. Zakłady posiadają własną elektrociepłownię, która, prócz pary technologicznej i ogrzewczej dla własnego użytku, zaopatruje w nią kilka większych zakładów przemysłowych oraz szkół. Wytwarza też energię elektryczną w ilości 7,5 megawata, niezależnie od krajowej mocy energetycznej.

Zakłady radomszczańskie produkują wszelkiego rodzaju krzesła i fotele. Tak gładkie, wypatane rafia, jak i tapicerowane, komplety wyposażenia, fotele teatralne i kinowe, wieszaki, meble dziecięce itp. Są też największym w zjednoczeniu i liczącym się w resorcie eksporterem na rynki krajów Zachodu (33 proc.) i do ZSRR (10 proc.).

— Jak kształtuje się opłacalność eksportu na Wschód? — pytam zastępcę dyrektora do spraw handlowych mgr inż. Stanisława Mazurę.

— Handel ze Wschodem dla naszej firmy, jest opłacalny. W ogóle wszystkie wyroby naszych zakładów sprzedajemy dobrze. Najbardziej korzystnie kształtuje się eksport do FRN, Włoch, Austrii. Najmniej, chociaż to też eksport opłacalny — do Anglii.

Poszczególne hale produkcyjne rozrzucone na ogromnym terenie z własnymi bocznkami kolejowymi, ma-

gazynami, składami. Wszystkie stanowiska pracy obsadzone, przed każdym pokazną ilość półproduktów, wózki sprawnie dowożą materiał — nie dostrzegam nigdzie przerw w produkcji. Na dworze ogromne stosy leżących drewna, wciąż dowozi się nowe, przerw w dopływie energii elektrycznej nie będzie, więc...

— Problemy są duże i wielorakie — jakby zgaduje moje myśli dyrektor Mazur. — Najdotkliwiej dają nam się we znaki chemia. To jest kleje, lakiery, pianka poliuretanowa, z którymi są i niestety będą coraz większe problemy, o czym lojalnie informują nas dostawcy. Chemia oparta jest bowiem na składnikach z importu, na które brak dewiz.

— Za wasz towar otrzymujecie przecież za granicą zapłatę w dewizach.

— Gdybyśmy mieli możliwość dysponowania choćby 20—30 proc. zarobionych przez nas na eksporcie dewiz, to zabezpieczylibyśmy nie tylko dla siebie, ale nawet dla kilku innych jeszcze fabryk mebli wszelkie niezbędne środki na zakup części zamiennych, materiałów, ale również byłibyśmy w stanie pokryć dewizowe potrzeby kooperantów, dotyczące naszej produkcji. Niestety pusta kasa w Banku Handlowym nie stwarza możliwości dysponowania przez przedsiębiorstwo najmniejszym procentem uzyskanych z eksportu dewiz.

Zamknąłem notes. Już wiem co dalej usłyszę. Czytelnicy też znają to już na pamięć od wielu miesięcy. Zawsze to

samo, wieczna niemożność. Następny z kolei zdrowy organizm, bo przecież jesteście producentem przynoszącym ogromne dochody w dewizach dla kraju, skazany będzie na paraliż postępowy i obaj będziemy się bezskutecznie zastanawiać kto was tą chorobą zaraził i kto będzie w stanie znaleźć na to lekarstwo.

podarcza, która da zakładom autentyczną samodzielność, jest w stanie rozwiązać podstawowe problemy, pozwoli obalić bariery hamujące produkcję. Następna sprawa (może też już żenujące jest mówienie o niej, skoro przez tyle miesięcy niczego w tej dziedzinie nie udało się zrobić) jest problem części zamiennych i na-

Henryk Czarnecki

CO SKRZYPI W MEBLACH?

W częściej gadaninie będzie równać się w dół, aż „przyjdzie walec i wszystko wyrówna” jak mówi porzekadło. Na nieszczęście na coraz niższym poziomie, a do depresji już niezbyt daleko. A może się jednak mylę i do wiem się zaraz od pana, że nie jest tak źle? Słucham, panie dyrektorze. Czytelnikom też jestem przecież coś winien: chcieliby widzieć czy i na czym będą jeść, spać, siedzieć.

— Jedynie radykalna reforma gos-

podarcza, która da zakładom autentyczną samodzielność, jest w stanie rozwiązać podstawowe problemy, pozwoli obalić bariery hamujące produkcję. Następna sprawa (może też już żenujące jest mówienie o niej, skoro przez tyle miesięcy niczego w tej dziedzinie nie udało się zrobić) jest problem części zamiennych i na-

— Wolał zapłacić niż zrobić?

— Musiał wykonać swój plan wyrobów gotowych, z których przede wszystkim go rozliczano.

— Rzeczywiście. Trudno by było wymyślić coś bardziej absurdałnego. Przyjdzie pewnie i wam, z braku części zamiennych, kupować teraz za granicą kompletne wózki.

— Ano... przyjdzie.

— Co z drewnem, podstawowym przecież surowcem do produkcji mebli?

— W tej chwili jest i w najbliższym okresie nie będzie go brakowało.

— Dlaczego więc takie ogromne trudności z nabywaniem mebli, skoro ponad 50 proc. waszej olbrzymiej produkcji, bo za 1 miliard zł rocznie dajecie na kraj?

obecnie własne kłopoty. Dziś w „Izolacji” nikt nie mówi o planach. Podobnie jak w latach euforii budowlanej projektanci i decydenci, tak dziś dyrektorzy także wróżą z fusów: jeśli będzie surowiec — wykonamy tyle a tyle, jeśli nie — stoimy! Przecież za I półrocze wykonano zaledwie 30 proc. tego, co można byłoby wykonać mając surowiec i gotowy w całości zakład. Dziś „Izolacja” zatrudnia 580 ludzi i wszyscy wiedzą, że jest ich tu za dużo, choć przy „normalnej” produkcji trzeba byłoby zatrudnić drugie tyle.

Mimo tego, że sama „Izolacja” boryka się z trudnościami, Zduńska Wola czerpie z faktu jej istnienia widoczne korzyści: zakład partycypował już w budowie domu kultury, kolektora sanitarnego dla dwóch ulic, oczyszczalni ścieków, wodociągu, stacji trafo, sieci telefonicznej, ujęcia wody, przebudowach ulic, budowie ciepłociągu, budowie boczny kolejowej, w perspektywie pomoc w rozbudowie stacji PKP i budowa żłobka, a ponadto dla miasta przeznacza się trzy budynki na potrzeby służby zdrowia, a także oddano dla mieszkańców Zduńskiej Woli 330 mieszkań. W sumie jest to spora pomoc, bo wynosi prawie pół miliarda złotych.

Mimo to pytanie: co dalej? powraca. EC stała się w tej chwili problemem nr 1. Do Warszawy wędrują pisma — skargi, pisma — błagania, w których zawarta jest prośba o przyspieszenie zakończenia prac i przyłączenia „Izolacji” do źródła ciepła. 8 kwietnia br. dyrektor W. Zmaczynski zwraca się do ministra energetyki i energii atomowej Zbigniewa Bartosiewicza z prośbą o interwencję u generalnego wykonawcy jakim jest wspomniany już PBEIP „Energoblok” w Koninie, przypominając, że przecież minister jeszcze w lutym złożył w Sejmie oficjalne zapewnienie, że w br. EC w Zduńskiej Woli ruszy pełną parą. W odpowiedzi dyrektor Departamentu Inwestycji i Budownictwa inż. Jan Gałka z tegoż ministerstwa odpowiada, że „przeprowadzona ocena sytuacji na budowie wykazała, że zastrzeżenia kierowane pod adresem wykonawców o zagrażającym niewykonaniu podjętych zobowiązań wobec Sejmu PRL, dotyczących przekazania w br. do eksploatacji jednego kotła OR-32 i jednego kotła WR-25, jest nieuzasadnione”. Dziesięć dni później „Izolacja” wysłała do wspomnianego departamentu pismo wyjaśniające, w którym uparcie twierdzi, że „uruchomienie EC w roku 1981 nie jest jeszcze do końca przesądzone”. Wysyłając powyższe pismo, nie się na wręcz entuzjastycznym dokumencie jaki wcześniej nadszedł od Zjednoczenia Budownictwa Energetycznego „Energobudowa” z Warszawy, w którym dyrektor d.s. produkcji inż. Ryszard Chmielewski zapewnia ministra energetyki i energii atomowej, że „kierowane pod adresem wykonawców zastrzeżenia co do opieszłości ich działań, zagrażających niewykonaniu podjętych wobec Sejmu PRL zobowiązań dotyczących przekazania w br. do eksploatacji 1-go kotła OR-32 i 1-go kotła WR-25, są bezpodstawne. Dowodem tego, jest zamierzenie zmontowania w br. wszystkich 5 kotłów (tj. 3XOR-32 i 2XWR-25) na co jeszcze pozwalają warunki czasowe i zgromadzone na budowie potencjały, a co determinowane jest wyłącznie realizowaniem dostaw przez inwestora”.

Inwestorem, oczywiście jest „Izolacja”.

Mówi kierownik budowy PBEIP „Energoblok” SZYMON GATKOW-

— Największe braki występują w tzw. meblach skrzyniowych (szafy, regały), natomiast nasza produkcja to przede wszystkim szkieletove, a z tym nie jest chyba najgorzej.

— Widziałem tutaj, w wystawowym salonie prezentującym waszą produkcję, dużą kolekcję lekkich, pięknych krzeseł i foteli gętych wyplatanych rafia, efektowny komplet wypoczynkowy „Jadwiga”. Gdzie można by to kupić, bo w sklepach meblowych nigdy nie udało mi się tego oglądać.

— Komplet wypoczynkowy „Jadwiga” mógłby być przez nas produkowany w kilkakrotnie większych ilościach, gdyby nie fakt, że materiał na pokrycie i mechanizm sprężynowy sprowadzany jest z Jugosławii i to chyba wyjaśnia wszystko.

— A te piękne krzesła z rafia?

— Krzesła te w 95 proc. idą na eksport.

— Od dłuższego czasu poszukuję bezskutecznie taboretu do pianina z regulacją wysokości. Czy nie wie pan dla któregoś z nich tego nie mogę kupić?

— Niestety, tego typu taboretów od wielu lat już nie robimy mimo dużego zapotrzebowania. Produujemy coś w tym rodzaju, z regulowanym siedziskiem, z tym, że... znów muszę pana zmartwić, jest to produkcja przeznaczona na eksport.

— Rozumiem... Jak widzi pan dyrektor przyszłość zakładu? Kiedy nastąpi poprawa w zwiększeniu produkcji? Jak orientują się z pana wy-

SKI: Pracujemy na wydłużonym dniu, także w dni wolne od pracy. A mimo to nie możemy skończyć. Zawsze coś nam przeszkadzało. Przede wszystkim katastrofale zaopatrzenie w materiały. Np. w czerwcu staliśmy 3 tygodnie, bo brakowało cementu. Podobnie było z materiałami ściennymi. Ostatnio udało mu się załatwić 5 ton wapna, starczy na tydzień dla 40 murarzy. I tak jest w kółko. Nigdy nie wiemy co będzie jutro. A przecież w „Energobloku” pracuje 128 ludzi! Aktualnie 40 osób jest na warsztacie remontowym „Izolacji”, bo chcą oddać ten warsztat po 20 lipca. Właściwie więcej rzeczy nie ma, niż są. Nie ma gazów technicznych. Jeśli ich nie otrzymamy — stanie montaż konstrukcji stalowych. Od 3 m-cy mamy kłopoty z benzyną. Z tego powodu miałem dwutygodniowy postój transportu. Niestety, nie mogę odpuścić jakiegś brygady, bo mi później już nie wróci. Więc niech ludzie się walcenia, ale niech będą na budowie.

Obecnie w EC żadnego obiektu nie wykonano w takim stopniu, by można było go przekazać do ruchu. Natomiast przygotowano już pod montaż urządzeń i instalacji rozdzielnic główną na 15 kV, węzeł przepływowy węgla, pompownię wód deszczowych i technologicznych, wodociąg, oczyszczalnię, rozdzielnicę 6 kV i 0,4 kV, a budynek główny jest wykonany prawie w 80 procentach. Myślę, że do końca sierpnia przekażemy front robót dla podwykonawców, głównie dla „Energomontażu”, który musi wykonać instalacje technologiczne oraz montaż maszyn i urządzeń. Ale i wówczas Zduńska Wola nie otrzyma ciepła. Natomiast dwa kotły, które oddam dla „Izolacji” mogą być wykorzystane przez miasto, bowiem staną się zbędne 20 ton pary i 16 Gcal ciepła.

Złożyłem rezygnację, ale mi jej nie przyjęli.

Tyle kierownik budowy. Jednak samo przekazanie kotłów i ich ruch nie sprawi cudu. Nawet gdyby oddano wszystkie 5 kotłów, Zduńska Wola nie skorzysta ani z jednego kilograma pary. Bo miasto nie jest przygotowane do przyjęcia tego dobrodziejstwa, choć kiedyś o nie zabiegało. Po prostu nie dokonano podłączeń, choć w szybkim tempie szepci się ulice ohydny napowietrzniemi rurami. Natomiast kiedy będą podłączone domy i zakłady do EC, nikt nie wie.

Koło się zamyka. Pozostaje wrócenie z fusów. „Izolacja”, choć jest dzieckiem niechlubnego okresu przerosłów ambicyjnych, przecież miała stać się wielką szansą dla czterdziestotysięcznego miasta. Wybudowana prawie za 3 miliardy złotych, dziś jest czymś wstydlivym, gdyż jak większość budów-gigantów, nie spełnia oczekiwań. Kogo dziś za to winić? Sądzę, że nie czas na szukanie ofiar, lecz należy z zaistniałego faktu wyciągnąć praktyczne wnioski. Budownictwo czeka na papę, prywatni właściciele domów na próżno pytają o nią w sklepach i magazynach, spółdzielnie mieszkaniowe z całego kraju bezskutecznie poszukują lepiku, kitu czy mas uszczelniających. Dlatego też nie przemawiają do mnie argumenty dyrektora departamentu z Ministerstwa Energetyki i Energii Atomowej, że na budowie EC w Zduńskiej Woli wszystko jest w porządku i termin oddania kotłów zostanie dotrzymany. Sądzę, że „Izolacja” potrzebuje natychmiastową pomoc, że trzeba zrobić wszystko, aby do reszty nie zniszczyć tego, co już zostało tu zrobione.

EUGENIUSZ IWANICKI

powieźli zagranicą trzymają w ręku „zielone” czekając na wasze wyroby.

— Mimo dotkliwych braków mebli na rynku i wzrastających z zagranicy zamówień planuję się w obecnym okresie zmniejszenie produkcji o 10-12 proc., według wytycznych Komisji Planowania. Decyzje te są wynikiem drastycznych ograniczeń środków dewizowych na import.

— Czy w związku z szeroko dyskutowaną w kraju sprawą tzw. przesunięć pracowników do innych dziedzin gospodarki nie przewidujecie zwolnień w waszym zakładzie?

— Kłóję mamy na dwa dni, określonych grup lakierów na tydzień, często podrażamy koszty produkcji stosując materiały zastępcze, aby nie dopuścić do przestojów i jeszcze większych strat. Nie ma takiego pracownika w zakładzie, który by mógł z całą pewnością powiedzieć czy jutro, pojutrze nie zatrzymamy maszyn z braku surowców. Ten stan niepewności demobilizuje ludzi. Intencją naszą jest nie stracić ani jednego pracownika, gdyż, jak zdążył się pan zorientować zwiędając nasz zakład, produkcja naszych wyrobów wymaga wysokiej fachowości: zbyt długo ludzie musieli się tutaj uczyć swojego rzemiosła. Zamiast 12 proc. zmniejszamy produkcję tylko o 3 proc. Przejdziemy, po prostu, na asortyment droższy, bardziej pracochłonny.

— I wyjdziecie na swoje. Ale rynek tych mebli otrzyma dużo mniej.

— Za to może ci, co kupia, będą bardziej zadowoleni, bo przecież rynek poszukuje lepszego towaru.

ciąg dalszy ze str. 1

się” z ministerstwami i autentyczne zaniepokojenie zwolenników kompleksowej i głębokiej reformy gospodarczej. Rzeczywista, a nie retuszowana modyfikacja resortów stanowi przecież bardzo ważki element reformy, decydujący w znacznej mierze o jej sukcesie.

Nieco historii

Dla oceny uchwalonych przez Sejm zmian w organizacji niektórych organów gospodarczych warto przypomnieć krótką historię ewolucji struktur ministerialnych w Polsce Ludowej. Historia ta w pełni potwierdza tezę o bujnym rozkwicie centralnej biurokracji gospodarczej, która stała się swoistym molem niszczącym ludzką inwencję i przedsiębiorczość.

Początki rozwoju owej biurokracji były nader skromne. W roku 1945 istniało tylko jedno ministerstwo w sferze przemysłu składające się z siedmiu departamentów ogólnoprzemysłowych i czternastu branżowych centralnych zarządów, działających na prawach departamentów ministerstwa. Centralnym zarządem podlegały zjednoczenia o strukturze branżowej lub branżowo-terytorialnej.

Ale już w roku 1949 wydano ustawę będącą zwiastunem wzrostu administracji gospodarczej. Na mocy tej ustawy rozwiązano urząd ministra przemysłu i handlu oraz powołano następujące ministerstwa: górnictwa, przemysłu ciężkiego, lekkiego, rolnego i spożywczego, handlu wewnętrznego oraz zagranicznego. W tym samym roku powołano do życia Centralny Urząd Szkolenia Zawodowego, a w 1950 r. — Centralny Urząd Drobnej Wytworczności. Wkrótce potem w 1952 r. powstały kolejne nowotwory w postaci ministerstw: przemysłu maszynowego, hutnictwa, drzewnego i papierniczego oraz materiałów budowlanych.

W przełomowym roku 1956 wadliwą strukturę i funkcjonowanie centralnych organów gospodarczych uznano za przyczynę wielu niepowodzeń w realizacji planu 6-letniego. Dyskusje modelowe z lat 1956-1958 doprowadziły do wykrystalizowania się podstawowych założeń reformy gospodarczej, które zapowiadały kurs na decentralizację i samorządność. Urzeczywistnienie tych zasad wymagało pewnego demontażu centralnych organów i zmiany stylu ich działania. Reorganizacja tych organów spowodowała, że z 38 ministerstw pozostało 25, w tym 15 zajmujących się administracją gospodarczą. Zlikwidowano również wiele zarządów branżowych, które stanowiły część aparatu ministerstw.

Późniejsze lata udowodniły, że biurokracja gospodarcza posiada tajemniczy dar szybkiego regenerowania swoich sił i możliwości. Okres lat 60 i 70 był fazą „doskonalenia” struktur organizacyjnych gospodarki, w którym to procesie zaznaczyła się szczególnie ekspansywność centralnych urzędów pretendujących do miana wszechwładnych. W efekcie według stanu na 1980 r. w Polsce istniało 49 ministerstw i urzędów centralnych, z tego 25 reprezentujących administrację gospodarczą. Niewiele krajów świata mogłoby się równać z nami w tej specyficznej dyscyplinie.

Charakterystycznym rysem epoki dynamicznego rozwoju biurokracji gospodarczej była swoista zasada powoływania nowych urzędów centralnych oparta o dwie podstawowe przesłanki. Pierwsza polegała na fałszywym przekonaniu władzy, iż określony problem ekonomiczny najlepiej rozwiąże się poprzez utworzenie nowego ministerstwa, urzędu czy komitetu. Istota drugiej przesłanki sprowadzała się do potrzeby zagwarantowania spadłym politykom i faworytom tzw. ścisłego kierownictwa lukratywnych stanowisk. Fatalne skutki tego rodzaju polityki nie wymagają komentarza, gdyż są dobrze znane opinii publicznej.

Istota zmian

Zgodnie z intencją zarządu koncepcja nowego podziału resortowego dostosowana została do pięciu kompleksów gospodarczych obejmujących następujące sfery: gospodarkę rolną i produkcję żywności; wydobywcę wszystkich kopalin oraz wytworzenie energii; hutnictwo i przemysł maszynowy; chemię i przemysł lekki; budownictwo i przemysł materiałów budowlanych. W związku z tym utworzono cztery nowe ministerstwa działowo-gałęziowe oraz podzielono dotychczasowe Ministerstwo Handlu Zagranicznego i Gospodarki Morskiej na dwa urzędy. Bilans strat i zysków ministerstw wynikający z przeprowadzonej operacji jest następujący: powołano do życia sześć nowych urzędów (nie licząc instytucji ministra pełnomocnika rządu ds. reformy gospodarczej), zlikwidowano natomiast dziesięć. Per saldo struktura centralnych organów gospodarczych uszczuplona została o cztery ogniw.

Z argumentacji strony rządowej przedstawionej w Sejmie wynika wniosek, że nowe twory resortowe nie oznaczają mechanicznej komasacji dotychczasowych urzędów. Reorganizacja resortów służyć ma realizacji doniosłych celów reformy gospodarczej oraz, co jest bardzo istotne, stanowi sprawdzian stosunku rządu do reformy. Potwierdzeniem pozytywnej postawy rządu wobec urzeczywistnienia reformy jest zapowiedź przewartościowania funkcji pełnionych dotychczas przez resorty. Funkcje te będą zharmonizowane z zasadami samodzielności i samorządności przedsiębiorstw. Generalnie rzecz ujmując przestoczenie funkcji resortów polegać będzie na rezygnacji z nakazowo-rozdzielczego kierowania gospodarką i

przyjęciu za podstawę ich działania funkcji strategicznych, a także kształtowanie warunków ekonomicznych gwarantujących zgodność interesów przedsiębiorstw z interesem ogólnospołecznym. Koresponduje to z logiką będącągo in statu nascendi modelu gospodarczego, w którym nakazy i limity zastąpione zostaną instrumentami i mechanizmami ekonomicznymi. Utrzymanie tradycyjnych funkcji resortów byłoby szkodliwym anachronizmem uniemożliwiającym skomponowanie spójnego systemu gospodarczego. Przykład zakończonych flaksem reformy z początku lat 70 dowodzi, iż zmiany w zasadach działania przedsiębiorstw, którym nie towarzyszy istotna modyfikacja stylu funkcjonowania centrum planistycznego prowadzą do powstawania irracjonalnego systemu, niesprawnego w sensie prakseologicznym i nieefektywnego ekonomicznie.

Uwagi sceptyczne

Rozpatrując ustawę sejmową o reorganizacji resortów należy zgłosić kilka wątpliwości wytykających z troski o interes rzeczywistej reformy. Przede wszystkim musi uderzyć fakt, że zabieg redukcji resortów okazał się pociąganiem zgoła połowicznym. Przypomnijmy, iż w wielu projektach reformy gospodarczej zakładano poważne ograniczenie liczby ministerstw gałęziowych, w tym koncepcja SGPIŚ zawierała propozycję pozostawienia tylko jednego takiego ministerstwa. Można przeto śmiało stwierdzić, że skalpel rządowy jest jeszcze zbyt tępym narzędziem w stosunku do potrzeb konsekwentnego odbiurokratyzowania gospodarki. Chciałoby się wierzyć, że omawiana reorganizacja jest pierwszym, a nie ostatnim etapem na drodze do uproszczenia struktury resortów gospodarczych.

Wielką niewiadomą jest sposób ukształtowania wewnętrznej struktury nowych resortów. Bolesnym ciosem dla reformy byłoby utworzenie tych resortów jako tworów składających się z wielkich branżowych departamentów, które reprezentowałyby dotychczasowe resorty. A zatem wszystko pozostałoby po staremu, zmianie uległoby tylko szyld „nowych” resortów. Doprowadziłoby to do recydywy starych struktur administracji centralnej. Przyjęcie takiej koncepcji organizacyjnej resortów porównać można do „konia trojańskiego” podarowanego ruchowi społecznemu na rzecz reformy gospodarczej.

Przedstawione obawy okazały się słonne, jeśli w nowych ministerstwach istnieć będzie struktura oparta o departamenty funkcjonalne pełniące konsekwentnie koncepcyjno-strategiczne funkcje na swoim obszarze działania. W ten sposób zapobiegnie się w pewnej mierze groźbie odnowienia starych układów, owych sławetnych „lobbów” resortowych preferujących partykularne interesy własnej branży. Wykonanie tych partykularizmów sprzecznych z interesami regionalnymi wymaga zasadniczego zwrotu w relacji ministerstwa do rządu. Chodzi tu po prostu o to, aby ministerstwa reprezentowały rząd wobec branż, a nie jak dotychczas — branżę wobec rządu. Odwrócenie dotychczasowej absurdalnej relacji zagwarantuje poszanowanie interesów ogólnospołecznych w konfrontacji z branżowymi, których całkowitej eliminacji nie sposób osiągnąć.

A propos partykularizmów branżowych — ujawniły się one w pełnej krasie podczas prac komisji sejmowych rozpatrujących rządowy projekt reorganizacji ministerstw. Powstały mianowicie wśród posłów kontrowersje na temat usytuowania leśnictwa i przemysłu drzewnego, które to dziedziny, zgodnie z projektem rządowym, włączono do tzw. kompleksu żywnościowego. Przeciw tej propozycji wystąpili posłowie — leśnicy reprezentujący komisję Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego. W rezultacie tych protestów sprawa kompleksu leśno-drzewnego będzie przedmiotem kolejnej sesji Sejmu.

Ten epizod z życia Sejmu posiada swoje zaplecze, które pozwala zorientować się w przyczynach osobliwego partykularizmu sejmowego. Otóż, komisje sejmowe mają układ branżowy, są mniej czy bardziej wiernymi odwzorowaniem struktury resortowo-działowej gospodarki narodowej. Posłowie pracujący w tych komisjach identyfikują się ze swoją branżą do tego stopnia, iż nie potrafią w pełni dostrzec interesu ogólnospołecznego. Jeśli przyjąć, iż każda branża uznaje swój interes za najważniejszy, to w takim układzie rzeczy gospodarka skazana jest na żywioł przetargów, licytacji i permanentnych protestów różnych grup i grup. Jeśli nie przełamamy do końca silnej presji interesów cząstkowych, które ulegają wszystkim instytucjom naszego życia publicznego to grozi nam wcale nie wydumane niebezpieczeństwo tzw. „demokracji egoistycznej” funkcjonującej zgodnie z porzekadłem „każdy sobie rękę skrobie”. Horyzont widzenia wielu instytucji życia gospodarczego i społecznego jest ciasny, gdy powinien być coraz szerszy i ogarniać swym zasięgiem krąg spraw wspólnych, wymagających zespolonego wysiłku ludzi akceptujących nadrzędność wspólnych wartości i zadań. Doskonałym udokumentowaniem wyliczonych tu wątpliwości może być również kwestia realizacji ambitnego zamierzenia pt. „wszystko dla rolnictwa”, które nie wyszło w zasadzie poza deklaracje i pobożne życzenia.

Na zakończenie tych sceptycznych wynurzeń należy wyrazić, aby nie złudna, nadzieję, że zapoczątkowana ustawą Sejmową skromna redukcja centralnego aparatu gospodarczego będzie w przyszłości kontynuowana i doprowadzi do spełnienia ideału, którym byłoby jedno ministerstwo przemysłu.

WITOLD KASPERKIEWICZ

ODGŁOSY: — Zaczniemy może od pytania, co należy uczynić, aby przekroczyć złą tradycję FJN?

E. TULKO: — Proponuję, żeby najpierw powiedzieć o tej złej tradycji, a ściślej, zająć się przyczynami, które ją spowodowały. Otóż mamy w Konstytucji zapis o Froncie Jedności Narodu, ale jest on bardzo ogólny i nigdy potem nie zostały sprecyzowane ramowe, czy też statutowe formuły tego Frontu. Dlatego też FJN był dotychczas traktowany instrumentalnie, jako jeszcze jedna transmisja stanowiska partii do społeczeństwa.

J. KRZEKOTOWSKI: — Może nie tyle partii, co kierownictwa partii.

W. RZYMSKI: — Potrzebę poszukiwania nowej formuły Frontu w Łodzi dostrzeżono już w listopadzie ub. roku. Wynikało to ze wszystkich krytycznych opinii i niedostatków jego działalności oraz z przepaści istniejącej pomiędzy efektami pracy Frontu a oczekiwaniami społeczeństwa. Obiegowa opinia mówiła, że Front jest fasadą, stąd dyskusje jakie toczyły się i na posiedzeniach Prezydium FJN i w organizacjach politycznych, a także w „Głosie Robotniczym” na początku tego roku.

Zła tradycja FJN wynika również z braku norm prawnych określających ramy jego pracy oraz opieranie jego działalności o decyzje polityczne nie tyle władz partyjnych, ile organów wykonawczych tych władz.

ODGŁOSY: — W czym konkretnie przejawiało się to instrumentalne traktowanie FJN?

E. TULKO: — O tym świadczyły na przykład polecenia wydawane sekretarzowi FJN przez Biuro Rady Narodowej, przez Wojewódzki Zespół Poselski, przez poszczególne wydziały KŁ PZPR, a nawet przez wydziały Urzędu Miasta.

J. WAWRZYŃCZYK: — Nie podzieliłbym poglądu, że dyrektor Biura Rady Narodowej kierował pracami FJN, ale potwierdzam, że kierowali nim instruktorzy lub sekretarze partii. Czasami nawet tak dalece, że kiedy miałem powiadzić jakąś konferencję, próbowano mi podsuwać gotowy tekst „mojego” wystąpienia. Dyrygowanie ze strony Instancji partyjnych było tak silne, że FJN faktycznie nie mógł wykazać tych inwencji, na które go było nawet stać. Być może przeciwnie, że nie stawało, żeby się temu przeciwstawić. Zresztą chyba takich możliwości nie było.

J. KRZEKOTOWSKI: — W istocie byli to przecież ludzie z nominacji.

ODGŁOSY: — Jakież więc funkcje pełnił w tym układzie FJN?

E. TULKO: — Po pierwsze — służył do współorganizowania wyborów westępnej fazy, a więc układano listy wyborcze, organizowano spotkania wyborców z kandydatami na posłów czy radnych.

J. WAWRZYŃCZYK: — Ale trzeba dodać, że listy wyborcze FJN otrzymywał już gotowe.

E. TULKO: — Oczywiście. Następną rolę Frontu była obsługa świąt państwowych, więc organizowanie wieców, składanie wieńców, jedynym słowem ceremonialna obecność FJN wśród innych organizacji.

I wreszcie główny cel istnienia Frontu w dotychczasowym kształcie, to organizowanie czynów społecznych oraz pomoc dla samorządów mieszkańców.

Było to klasyczne wyręczenie organów administracji państwowej, które z racji urzędu powinny tym samorządom pomagać. Przerzucenie tych funkcji na FJN było o tyle wygodne, że stwarzało możliwość wtłoczenia wszelkich inicjatyw społecznych pod państwowy szyld, zgodnie z koncepcją państwa wszechogarniającego wszelkie dziedziny życia.

J. KRZEKOTOWSKI: — Skąd się w ogóle wzięły samorządy mieszkańców, jako ogniwa FJN przy całej wartości ich działań? Stąd, że FJN był pieczęcią przystawianą do samorządu. Skoro człowiek robił porządek wokół własnego domu, to znaczyło, że akceptuje program polityczny partii. Zgodnie zresztą z koncepcją FJN jako bezpośredniej transmisji aparatu partyjnego, która miała temuż aparatowi stwarzać złudzenia społecznego poparcia.

E. TULKO: — Była jeszcze jedna funkcja

FRONT LUDZI DOBREJ WOLI

Frontu, jako organizacji, do której przyczepiano inne, bo nie było ich gdzie podwiesić. Tak było w przypadku Rady Kobiet czy całego pionu społecznych komisji Pojedynawczych.

ODGŁOSY: — W tym co do tej pory panowie mówicie trudno będzie doszukać się pozytywnych w dotychczasowej działalności FJN.

H. KONARZEWSKI: — Ja twierdzę, że te pozytywy jednak były. Weźmy chociażby samorządy mieszkańców. Niewątpliwie za samorządy odpowiedzialne były rady narodowe z określonego terenu i odpowiedzialna była administracja. Ale rzeczniczką interesów tych samorządów był właśnie FJN. Zasiłując zresztą FJN było w ogóle wprowadzenie samorządności w miejsce zamieszkania. Jak wyglądała realizacja zasady samorządności to już zależało od konkretnych ludzi. Tam, gdzie działały zespoły ludzi zaangażowanych, właściwie pojmujących idee samorządności, ich praca przynosiła pożytek.

Fakt, że w projekcie nowej ustawy o radach narodowych akcentuje się ściśle powiązanie rad z samorządami mieszkańców i traktowanie tychże, jako przedłużenia rady narodowej w miejscu zamieszkania, świadczy o tym, że rola FJN w zakresie samorządów w jakimś stopniu wyczerpała się.

W. RZYMSKI: — Nieporozumieniem i błędem była likwidacja terenowych komitetów FJN i niejako podwójne podporządkowanie samorządów mieszkańców radom narodowym i odpowiednim komitetom Frontu. Powodowało to, że głównym kierunkiem pracy samorządów była działalność bardziej gospodarcza — i tu wyniki są nawet dobre — natomiast na dalszy plan odsunięto działanie natury społecznej, a więc te, które są charakterystyczne dla działalności Frontu.

J. WAWRZYŃCZYK: — Zgodzę się, że w kwestii samorządności FJN ma pewne osiągnięcia, chociaż nie są one tak wielkie, żeby można się było nimi chwalić. Działacze FJN na pewno napracowali się i w samorządach i podczas organizowania wyborów, tylko że FJN, jako instytucja akceptowała to, co zostało wcześniej zatwierdzone przez inne organy. Pod względem merytorycznym FJN nie był autorytetną organizacją, która podejmowałaby samodzielne decyzje.

J. KRZEKOTOWSKI: — Front był jedynym forum, gdzie obywatel mógł mówić do decydentów. Miał szansę publicznego postawienia pytania do władzy. Czy na te pytania otrzymywał satysfakcjonującą go odpowiedź, to już inna sprawa.

J. WAWRZYŃCZYK: — Działacze FJN wielokrotnie podnosili na przykład sprawy ochrony środowiska. Likwidacja szkodliwego wydziału „Anilany” podtrzymującego sąsiednie tereny to w jakimś stopniu zrealizowanie postulatów FJN.

J. KRZEKOTOWSKI: — Żeby zakończyć już rozważanie o minionym etapie, podsumowałbym to tak. Eklektyzm Frontu wynikał ze ścierania się dwóch tendencji. Z jednej strony bardzo słusznej idei samorządności, która przyciągnęła do FJN wielu ludzi chcących rzeczywiście działać i widzących w tej samorządności istotną wartość, z drugiej strony, z manipulowania Frontem, jako swoistą agendą propagandy. W efekcie Front dreptał w kółeczko.

E. TULKO: — Powiem dobitniej. Była to klasyczna deformacja wynikająca z niewłaściwego interpretowania przewodniej roli partii. Uważano, że jeśli we Froncie są członkowie partii, to można nimi manipulować na zasadzie telefonicznego polecenia, nie uwzględniając zupełnie zasady partnerstwa, jaka powinna w tym Froncie dominować. Wynikało to chyba z braku zaufania do członków partii oddelegowanych do pracy w FJN.

J. WAWRZYŃCZYK: — I również do ludzi reprezentujących inne organizacje czy grupy społeczne.

H. KONARZEWSKI: — W każdym razie ten etap został zamknięty i trzeba rozpocząć następny. Stąd się bierze ogólnopolska dyskusja wokół nowego kształtu Frontu Jedności Narodu.

W. RZYMSKI: — Trzeba powiedzieć, że w Łodzi nie czekaliśmy na żadne centralne wytyczne i łódzka propozycja nowej formuły Frontu powstała w wyniku prac Zespołu Programowo-Organizacyjnego o składzie personalnym usankcjonowanym przez Prezydium ŁK FJN.

Głównym motywem łódzkiej propozycji jest FJN jako płaszczyzna porozumiewania się i porozumienia społecznego poprzez konsultowanie i zasięganie opinii społecznej o inicjatywach PZPR, ZSL i SD oraz organizacji młodzieżowych, a także o inicjatywach społecznych organizacji i stowarzyszeń.

ODGŁOSY: — Jeśli mówimy o potrzebie takiej platformy politycznej, to nie może ona działać bez społecznej akceptacji. Jakże są szanse na tę akceptację?

J. KRZEKOTOWSKI: — Myślę, że cały ubiegły rok pokazuje dobitnie, jak bardzo jest nam brak instytucjonalnych mechanizmów demokracji. Istnienie tego rodzaju forum politycznego umożliwiłoby stworzenie mechanizmów gwarantujących porozumiewanie się różnych grup społecznych.

Świadomie nie używam nazwy Front Jedności Narodu, ponieważ wraz z całym Stowarzyszeniem „Pax” reprezentuję tezę, że powinien to być Front Porozumienia Narodowego. I nie jest to tylko kwestia werbalna, ale kwestia istoty tej odnawianej czy nowej organizacji.

ODGŁOSY: — W momentach konfliktów społecznych mediatorami byli prezydenci miast, księża biskupi, ale nie FJN, który zgodnie ze swoimi założeniami powinien skupiać wszystkie kręgi społeczne i w ich imieniu dążyć do pojednania zwalczających grup. FJN nie znalazł się również w rozstrzyganiu łódzkich konfliktów: strajku studenckiego czy w sporze między „Solidarnością” a dyrekcją Szpitala MSW.

J. KRZEKOTOWSKI: — Bo w takim wymiarze nie widzieli Frontu ani społeczeństwo ani władza.

ODGŁOSY: — Można by powiedzieć, że FJN zbyt późno ocknął się z nabytej przez lata bezwoli i nie był gotów do podjęcia roli mediatora.

W. RZYMSKI: — Ocknął się może wcześniej, z tym, że efekty były jeszcze małe. Wynikało to z różnych oporów, natury nawet politycznej, przedstawicieli kierownictwa FJN. Na początku Zespołu Programowo-Organizacyjnego patrzono z pewną podejrzliwością i nieufnością. Pierwszą próbą samootwarcia się FJN w Łodzi był — powstały w wyniku burzliwej dyskusji — apel do stron w konflikcie studenckim.

E. TULKO: — Moim zdaniem Front nie był jeszcze gotów do mediacji. A z drugiej strony nikt tego Frontu w mediacjach nie chciał. FJN nie miał dwóch podstawowych rzeczy: brak mu było reprezentatywności społecznej, bo był to mimo wszystko Front z klucza i nie cieszył się autorytetem społecznym. W tej sytuacji podjęcie przez FJN roli mediatora mogłoby być uważane za próbę wyciszenia problemu. Trzeba przecież pamiętać o niechlubnej roli, jaką FJN odegrał w lipcu ubiegłego roku w Lublinie i w sierpniu w Gdańsku. Rola, jaką mu bez pytania o zgodę, zaczęto narzucać.

J. KRZEKOTOWSKI: — Jeśli teraz mówimy o konieczności stworzenia nowego kształtu Frontu, jeśli mówimy o potrzebie jego reprezentatywności i społecznego poparcia, to bez dwu elementów składowych ten nowy Front nie ruszy. Konieczna jest tu obecność wszyst-

kich odłamów ruchu zawodowego i obecność Kościoła instytucjonalnego. Choć rozumiem, że Kościół może akceptować jedynie pośrednie formy swej obecności w ruchu politycznym.

W. RZYMSKI: — Nowy kształt Frontu wymaga z jednej strony innego niż dotychczas programu i celów działania, a z drugiej — szerokiej reprezentacji społecznej.

H. KONARZEWSKI: — Musimy być konsekwentni. Jeśli mówimy o światopoglądzie idealistycznym, to muszą być obecni ludzie wszystkich wyznań, nie tylko katolicy.

Istota sprawy tkwi w tym, że FJN musi być autentycznym rzecznikiem opinii społecznej. Stąd niezbędna obecność w jego ogniwach przedstawicieli wszystkich grup społecznych i środowisk, stojących na gruncie zasad ustroju socjalistycznego.

J. KRZEKOTOWSKI: — Dość łatwo uogólniamy tezę, że Front powinien być reprezentacją całego narodu. Trzeba to jasno powiedzieć, że reprezentacja całego narodu nie jest i nie może być. Po prostu dlatego, że będzie przedstawicielem tych sił, które respektują nasze pryncypia ustrojowe.

Jeśli Front ma być w przyszłości gwarantem porozumień społecznych, to znaczy, że mógłby przejąć pewne prerogatywy czy to Komisji Nadzwyczajnej Sejmu na szczeblu ogólnopolskim czy Komisji Nadzwyczajnych Wojewódzkich Rad Narodowych na szczeblu lokalnym, to w tymże Froncie muszą być instytucjonalnie zagwarantowane mechanizmy, które będą zapobiegały próbom manipulacji jego opinią. Byłoby to bardzo groźne dla porozumień społecznych, które Front ma gwarantować. A gwarancja realizacji porozumień to najważniejsze zadanie.

J. WAWRZYŃCZYK: — Musi być wyraźnie zagwarantowane partnerstwo między wszystkimi grupami społecznymi działającymi we Froncie. Inaczej nie przekonamy do siebie ludzi.

E. TULKO: — Zawsza słyszy się hasło: tworzymy sojusz ludzi rozsądnych. Sądząc, że instytucjonalna replika tego sojuszu byłaby właśnie Front Porozumienia Narodowego.

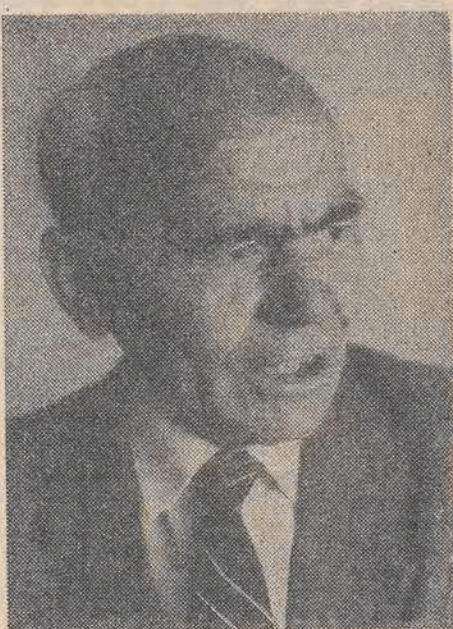
J. KRZEKOTOWSKI: — Jest jeszcze jedna istotna sprawa, która ma decydujące znaczenie dla przyszłego kształtu i działalności Frontu. W tej chwili w FJN sprawuje funkcje sporo osób odsuniętych przez macierzyste organizacje z funkcji, jakie tam pełnili. W nowym Froncie nie może być takich sytuacji.

Podobnie myślę, że Prezydium Frontu, na różnych szczeblach, powinny w istocie przejąć wiele funkcji Komisji Współdziałania Partii i Stronnictw Politycznych, co oznaczałoby wyraźne poszerzenie politycznej formuły rządzenia w Polsce. I dalej: Prezydium FJN muszą być wybierane a nie nominowane, szczególnie dotyczy to funkcji przewodniczących i ich zastępców, którzy winni być wybierani przez plenum, a nie tylko prezydium odpowiedniego szczebla.

W. RZYMSKI: — Zgadza się, że prezydium FJN powinny być wybierane przez komitety, natomiast mam zastrzeżenia co do przejęcia przez nie roli superkomisji współdziałania PZPR, ZSL i SD. Zbyt przypominałoby to BBWR z okresu międzywojennego, a chyba nie o to chodzi. Partie zajmują się działalnością polityczną, zgodnie ze swoimi statutami, natomiast FJN jest ruchem społecznym i jako taki nie powinien wyręczać partii politycznych w ich działalności.

ODGŁOSY: — Padło już stwierdzenie, że najważniejszym i najpilniejszym zadaniem Frontu jest rola gwaranta umów społecznych. Jakże jeszcze działaniu powinien podjąć FJN albo być może Front Porozumienia Narodowego?

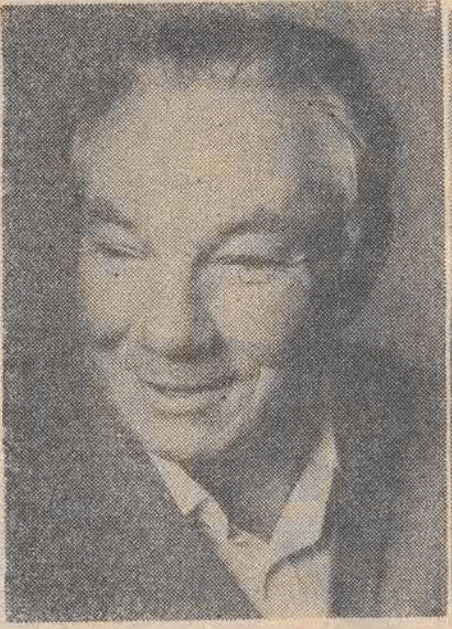
J. KRZEKOTOWSKI: — We Froncie powinny się w tej chwili rozwinąć dwa kierunki działania. Jeden to samoorganizowanie się —



JAN WAWRZYŃCZYK: „Pod względem merytorycznym FJN nie był autentyczną organizacją...”



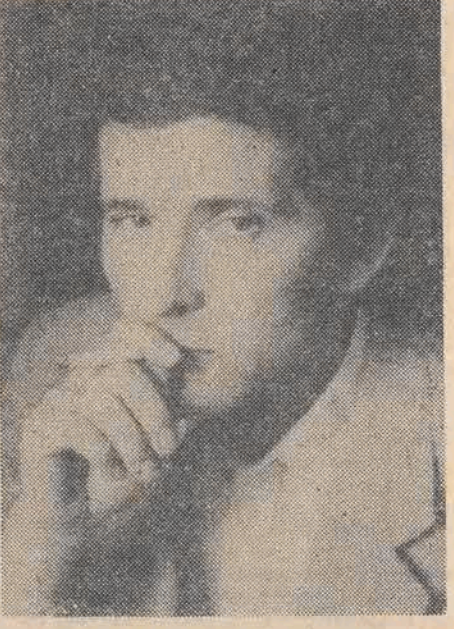
EDMUND TULKO: „FJN był dotychczas traktowany instrumentalnie, jako jeszcze jedna transmisja stanowiska partii do społeczeństwa”



HENRYK KONARZEWSKI: „...bardzo ważne jest, aby na czele wszystkich ogniw Frontu stanęli ludzie o wysokiej moralności...”



WŁADYSŁAW RZYMSKI: „Front jest jeden, naród jest jeden”.



JACEK KRZEKOTOWSKI: „...wraz z całym Stowarzyszeniem PAX reprezentuję tezę, że powinien to być Front Porozumienia Narodowego”.

to jest sprawa niezbędna. Drugi, to nie czekając na ukonstytuowanie się nowego kształtu Frontu, podejmowanie w dyskusji problemów merytorycznych, choćby miało być to jeszcze niedoskonałe. Dlaczego taką rolę przypisuję dyskusjom merytorycznym? Bo tylko one mogą przyciągnąć do nas bardzo ciekawych ludzi, których ani organizacje mogą nie wytypować, ani my ich nie zawsze potrafimy wskazać.

Przykładowo: już teraz powinniśmy podjąć dyskusję nad kształtem nowej ordynacji wyborczej do Sejmu i rad narodowych.

E. TULKO: — I równolegle powinna toczyć się zainicjowana przez FJN dyskusja nad przyszłym kształtem rad narodowych i ustawą o radach narodowych.

H. KONARZEWSKI: — Myślę, że do czasu wyborów nowych radnych, Front musi przygotować program współpracy z radnymi. Nie mogą to być, jak do tej pory, sztamkowe spotkania z mieszkańcami, które miały z góry ustalony temat, raczej rzadko korespondujący ze sprawami aktualnie nurtującymi społeczeństwo. FJN powinien spełniać w stosunku do rad narodowych zarówno rolę inspiratora, jak i w jakimś sensie rolę sumienia radnych. Z moich dotychczasowych obserwacji wynika niestety, że nie wszyscy radni są faktycznie zaangażowani i właściwie rozumiejący swoją misję. A ileż jest spraw lokalnych, terenowych, które wymagają załatwienia? Front powinien zmuszać, aby były one przez radnych zgłaszane, a przez administrację realizowane.

J. WAWRZYŃCZYK: — I taka rola Frontu może zapobiec wielu konfliktom między społeczeństwem, a władzą, lub rozładowywać konflikty, jeśli już powstały.

ODGŁOSY: — Pozostaloby tylko życzyć sobie, aby Front już w tym nowym kształcie, zaczął wreszcie działać. Choć być może te nowe funkcje Frontu nie wszystkim będą odpowiadały. Można teżnąć się z takim myśleniem: po co reformować FJN, skoro jest to jedyna organizacja polityczno-społeczna, która ostawiła się do tej pory bez wstrząsów i radykalnych przemian?

J. KRZKOTOWSKI: — Faktycznie wielu ludzi tak myśli. Ale ja twierdzę, że Front już działa na rzecz nowego kształtu. Jeśli powstała grupa programowa, której przemyślenia zyskują coraz większe kręgi słuchaczy, to jest to początek działania polegającego na grupowaniu ludzi wokół nowej koncepcji tegoż Frontu.

W. RZYMSKI: — Łódzkie propozycje programowe FJN dla pewnej grupy ludzi są wstrząsem i to trzeba sobie wyraźnie powiedzieć. Jednakże rowy program bez wstrząsów urodzić się nie może.

H. KONARZEWSKI: — Bardzo ważne jest, aby na czele wszystkich ogniw Frontu stanęli ludzie o wysokiej moralności, cieszący się autentycznym uznaniem społeczeństwa. Tylko tacy ludzie są w stanie przyciągnąć do nas szerokie społeczne grono, tylko tacy będą mogli przeciwstawić się demagogii, uprawianej przez ekstremistów różnych masł.

ODGŁOSY: — Do tej pory mówiliśmy o FJN w mieście, a wszakże organizacja ta miała być spora do roboty także na wsi podzielonej obecnie między dwa nowe związki zawodowe.

J. WAWRZYŃCZYK: — Ja bym powiedział wyraźniej — wsi skłóconej. Istotnie, na wsi dokonali się duże zmiany. Powstały dwa związki zawodowe. W większości przypadków są one skłócone. W pewnym stopniu uaktywniły się samorządy spółdzielcze. Dlatego prace gminnych komitetów FJN powinna się przede wszystkim koncentrować na integrowaniu wszystkich nowych sił społecznych oraz podejmowaniu inicjatyw społecznych i gospodarczych. Boje się jednak, że będzie to trudne zadanie, ponieważ do tej pory Front nie stanowi na wsi liczącej się organizacji.

E. TULKO: — Rola Frontu widzę tu nie tylko jako organizatora współpracy poszczególnych związków czy samorządów na wsi, ale także jako tę instytucję, która mogłaby i powinna łagodzić sprzeczności między miastem a wsią, między klasą robotniczą, a chłopami. Kiedyś mówiło się o sojuszu miast z wsią. Teraz, na skutek fatalnej sytuacji gospodarczej, wzajemne pretensje rosną. Nie zajmują się tym w sposób dostateczny ani partia ani ZSL.

J. WAWRZYŃCZYK: — I dlatego ważne jest, aby nowy kształt Frontu zrodził się nie tylko w miastach, ale także na wsiach.

W. RZYMSKI: — Mam wątpliwości czy właściwe jest już w tej chwili dzielenie Frontu na wiejski i miejski. Front jest jeden, naród jest jeden. Wprawdzie społeczeństwo jest podzielone, ale nastawianie się z góry na to, że inne cele powinny mieć komitety FJN na wsi, a inne w mieście, nie jest najszybsze.

Głównym celem działania Frontu jest — w czym mówili już wcześniej — stworzenie platformy porozumiewania się i porozumienia społeczeństwa, bez a priori dzielenia go na grupy i warstwy. Tylko działanie w tym kierunku stwarza szansę konsolidacji społeczeństwa wokół najważniejszych spraw narodu i państwa.

Dyskusję prowadziła i opracowała:
BOGDA MADEJ

Od redakcji:

Powyższa rozmowa należy traktować jako wkład pracy w dyskusję o problematyce FJN zapoczątkowaną w Łodzi. Zgodnie z decyzją Prezydium LK FJN z 30 czerwca br. opracowane przez Zespół Programowo-Organizacyjny założeń programowych są obecnie dyskutowane w terenowych komitetach Frontu i w środowiskach. Podsumowaniem tej dyskusji oraz najprawdopodobniej podjętymi organizacyjnymi i politycznymi decyzjami plenium LK FJN planowane na koniec sierpnia.

Dalszy ciąg ze str. 1

— Napatrzył się pan przez te lata na chłopską niedolę.

— Oj, tak! Ale ostatnia dekada nie była najgorsza. Najbardziej utkwili mi w pamięci lata pięćdziesiąte, gdy byłem inspektorem rolnym w województwie szczecińskim. Zachodzę pewnego razu do najlepszego rolnika we wsi, a tam tragedia. Przyjechała „trójka” i zarekwirowała wszystko zboże. A tu piękne, wielkie gospodarstwo, konie, krowy, świnię do wyżywienia. To mną wstrząsnęło. Bo na jakim my świecie żyjemy?

— I co pan zrobił?

— Udałem się do kierownika wydziału rolnictwa PRN i powiedziałem, co o tym myślę. A kierownik: „To wy, towarzyszu, jesteście wrogiem! Kogo wy bronicie? Takich trzeba rozkułaczć!” A ja na to: „Wobec tego nie rozumiem, po co pan siedzi w tym urzędzie? Do tego wzorowego rolnika prowadził pan wycieczki chłopów z Kieleckiego, żeby się chcieli tu osiedlić, a teraz go pan niszczy?” Wynikła straszna draka...

— I pewnie pana zamknęli?

— Nie zdążyli. Bo prosto stamtąd pojechałem do WRN i napisałem w imieniu rolnika odwołanie. Po trzech dniach jadę do tamtego chłopca, a w zagrodzie już spokój. Zboże w spichrzu odpłombowano i gospodarstwo zostało uratowane. Gdyby wtedy nie tak „budowano” rolnictwo, to może dzisiaj byłoby więcej żywności.

— Był prezesem ZSL w województwie łódzkim łódzkiem to zaszczyt czy utrapienie?

— I jedno, i drugie. Województwo łódzkie w obecnych granicach to jest parodia. Łódź została ogolona nie tylko z terenów rolnych, ale z przechowalni i zakładów przetwórczych, które zostały w nowych województwach. Jednocześnie gmina nie wyżywi miliona ludzi. Żadna wyznaczona ogólnie strefa żywnościowa nie załatwi sprawy, bo przy obecnej strukturze każdy wojewoda będzie ciągnął dla siebie. Dlatego konieczna jest zmiana granic. Poza tym w woj. łódzkim jest dużo drobnych gospodarstw, a nie ma sprzętu do rolnictwa w nich produkcji. Do ZSL należy 5 tys. osób. Jedna trzecia to pracownicy umysłowi, mieszkający w miastach. Oni też mają swoje potrzeby. Reszta mieszka na wsi. Ale wielu jest chłopo-robotników. Nie wiadomo, jaka powinna być ich przynależność organizacyjna.

— Nadarza się szansa, aby pozyskać ich do ZSL.

— Tak, to jest związane z nadwyżką siły roboczej w niektórych zakładach pracy. Trzeba rozmawiać z chłopo-robotnikami, którzy mają powyżej 5 ha, i przekonywać, że powinni zająć się rolnictwem. Ale samo gadanie niczego nie da. Trzeba tym ludziom pomóc w zakupie ziemi, zdobyciu środków produkcji i kredytów.

— Żeby poprawić sytuację na wsi, musicie pozyskać sprzymierzeńców.

— Myśm stracili wiele jako partia polityczna dlatego, że zajmowaliśmy się mnóstwem drobnych spraw. Teraz mamy sprzymierzeńców. Są nimi związki zawodowe, zarówno „Solidarność Wiejska”, jak i kółka rolnicze. One będą nam pomagać w obronie rolnika, nie dopuszczają do krzywdy chłopskiej. Razem sprawnie, że sojusz robotniczo-chłopski nie będzie tylko na papierze.

— Nie sądzę, żeby to było łatwe. CZK i OR zarejestrował się jako związek, natomiast gminne organizacje kółkowe nie posiadają jeszcze osobowości prawnej. Na tym leży rodzaj się konfliktu. Naczelnicy gmin narzekają, że dwa związki rozbijają wieś.

— Problem związków jest złożony, zależy to od terenu. Są trudne wypadki, jest dyskusja, kto ważniejszy i co ma robić. My oba związki traktujemy bardzo poważnie. Być może przyjdzie nam odgrywać rolę mediatora. Myślę jednak, że związki same się dogadają, stworzą komisje koordynacyjne i zaczną współpracować, a nie zwalczać się wzajemnie. Ponadto wierzę, że ważne decyzje zmierzające do poprawy warunków życia na wsi będą zapadać na ważnym zebraniu wiejskim.

— Macie jeszcze jednego sojusznika — reaktywowany Związek Młodzieży Wiejskiej. Kiedyś była to kuznia kadr dla ZSL.

— Egzaminując młodych rolników po kursach kwalifikacyjnych, pytałem, jakie znają organizacje młodzieżowe na wsi. Na dziesięciu jeden mówił, że ZSMP. Pozostali rzucali bez wahania, że ZMW. Organizacja nie istniała dla władz, ale była w świadomości młodzieży. ZMW jest organizacją samodzielną, nie idzie o ilość, ale o jakość. Nie musi być kuznią kadr dla nas. Będziemy popierać każdą dobrze pracującą organizację. Nie chcemy likwidować ZSMP. Ale nie chcemy też, aby ZMW opadło o rozbijactwo i rugowanie ZSMP. Obie organizacje powinny cechować zdrowe współzawodnictwo.

— Potrafią zatrzymać młodych ludzi na wsi?

— Do niedawna młody rolnik zarabiał o 30 proc. mniej niż rówieśnik w przemyśle. Młodzi zostają na wsi, jak im się stworzy warunki produkcyjne i socjalne. Taki przykład: w gminie Stryków na 95 podał jest jedna kopcarka i trzy przetrząsacze do siana. Kosą to można dzisiaj kosić tylko zboże, które wylegnie. Z braku maszyn zahorowana trzydziestoletnia kobieta wiejska wygląda gorzej niż emerytka z biura. Młodzi ludzie będą przejmować gospo-

darstwa, ale muszą mieć zagwarantowany byt.

— Niezmiernie ważnym czynnikiem, gwarantującym w przyszłości wzrost produkcji rolnej, jest rozwój oświaty na wsi. Jak pan ocenia reformę oświaty i powołanie gminnych szkół zbiorczych?

— Dowożone do szkół zbiorczych dzieci przebywają poza domem od siódmej do szesnastej. Nic dodać, nic ująć. Z tym, że dzieci stoją godzinami na przystankach, a potem muszą jeszcze pomagać w gospodarstwach. W gminie Stryków dowóz dzieci pochłania rocznie pół miliona złotych. A szkoły na wsiach stoją puste. Piękny dom kultury w Niesuikowie też stoi pusty. Brakuje wyposażenia, biblioteki, czytelnicy, obsady. Dzisiaj do wiejskiego domu kultury nie wystarczy wstawić telewizor, żeby przyciągnąć ludzi, trzeba dać coś atrakcyjnego, jak w mieście.

— W Holandii jest wysoki poziom rolnictwa, bo niemal każdy rolnik ma średnie wykształcenie.

— A u nas technik-rolnik martwi się, gdzie pójdzie do pracy. Myślę, że każdy obejmujący gospodarstwo powinien mieć dyplom technika. Szkoły rolnicze powinny mieć własne gospodarstwa o szerokim profilu. Aby uczeń nauczył się hodowli, w gospodarstwie muszą być konie, krowy, świnię, drób. Kiedy WOPR przy szkole rolniczej hoduje tylko krowy, to uczeń niewiele się nauczy. A gdy pójdzie na praktykę do PGR i przez tydzień sprząta, a przez kolejne

BYĆ BLISKO WSI

dziesięć dni zbiera kamienie na polach, to całkiem stracił serce do pracy w rolnictwie. Dlatego część absolwentów nie pracuje w swoim zawodzie np. dziewczyny na poczcie lub w sklepach. Na szczęście ogromna większość absolwentów pochodzi ze wsi i obejmuje gospodarstwa po rodzicach, szczególnie chłopy. Ale oni najbardziej potrzebują pomocy, także ze strony ZSL.

— Młody człowiek po dwutygodniowym kursie siada na kombajn i bez przerwy go psuje.

— System oświaty pozaszkolnej zdaje egzamin wtedy, gdy kursant ma dłuższy staż w rolnictwie. Jestem zdania, że rolnicy z dłuższym stażem po dwumiesięcznych lub rocznych kursach mogą poprawić swoje warsztaty pracy. Zwłaszcza, gdy zwróci się uwagę na problem chemizacji. Młodzi rolnicy mogliby uczyć się zaocznie w Bratoszewicach, w systemie programu szkolenego. Niestety, są trudności z naborem kandydatów. A pod bokiem otwiera się kursy Przygotowania Rolniczego.

— Bez węgla, bez energii nie ma produkcji na wsi. Ale gorzej, gdy brakuje prostych narzędzi.

— Prawdziwy sojusz robotniczo-chłopski będzie wówczas, gdy wieś i miasto wzajemnie się poznają. Dlatego WK ZSL organizuje spotkania samorządów zakładowych i samorządów wiejskich. Niech miasto wie, z czym się boryka wieś, a wieś niech się dowie, czego chce od niej miasto. I niech miasto powie, co może zrobić dla wsi. Łódzkie zakłady pracy dały już rocznie środki produkcji dla rolnictwa za 30 mln złotych. To będzie można zwiększyć.

— W związku z aktywizacją drobnej wytwórczości wiele wam może pomóc Stronictwo Demokratyczne.

— Właśnie nawiązaliśmy kontakt z SD. Odbyliśmy spotkanie, utworzyliśmy wspólną grupę roboczą. My przedstawiliśmy potrzeby wsi, a rzemieślnicy swoje możliwości. Chodzi o to, żeby nowo powstające zakłady rzemieślnicze zajęły się od razu produkcją dla rolnictwa. Mogą to być najprostsze narzędzia: łopaty, kosy, widły, brony.

— Takie narzędzia nie zastąpią maszyn. Rolnik powinien więc liczyć na dobre usługi.

— Pan ma na myśli SKR. To przedsiębiorstwo dawno powinno zmienić nazwę. Tylko drażni i nie ma nic wspólnego z Gminnym Związkiem Kółek i Organizacji Rolniczych. To przedsiębiorstwo musi świadczyć usługi wyłącznie dla rolnictwa indywidualnego, i nie poza terenem gminy. Oni zajmują się usługami, a chłopci produkcją. Tak to ma wyglądać. A jak mają mało ciągników, to niech je wyciągają od przedsiębiorstw pozarolniczych, którym kiedyś niesłusznie przydzielono ciągniki. Natomiast że uprawiane grunty ZGR muszą przejść w ręce chłopów.

— Panie prezesie, sfera produkcji nie może wam przesłaniać problemów socjalnych wsi.

— I nie przesłania. Niewątpliwie zasługą ZSL jest dążenie do zmiany ustawy o rentach i emeryturach dla rolników.

— Nowelizacja czy nowa ustawa?

— Myślę, że powinna to być nowa ustawa. Byłem na co dzień i będę z rolnikami. Wstyd mi, gdy słyszę, jak chłop proponuje się emeryturę w wysokości 1.900 zł na dwie osoby. Przecież minimum socjalne dla jednej osoby sięga trzech tysięcy.

— Emerytura za gospodarstwo czy za pracę?

— Przede wszystkim za pracę. I za składki.



Foto: Z. Nowak

JERZY CHOJNACKI: „Przestaliśmy się liczyć jako partia chłopska”

Dla mnie ważny jest wiek emerytalny chłopca. Chłop pracuje niemal od dziecka, po 16 godzin, bez niedziel, wolnych, sobót, wczasów i urlopów. Dwadzieścia lat jego pracy to tyle, co czterdzieści lat pracy w mieście. Czy syn ma czekać do 45 roku życia, aż mu ojciec przekaże gospodarstwo? Przecież ojciec mógłby przejść na emeryturę w wieku 50 lat. Do czasu, gdy państwo zacznie wypłacać świadczenia, emeryturę mógłby mu zapewnić przejmujący gospodarstwo syn. Jest też sprawą ważną, aby starym ludziom bez następów zapewnić pomoc i opiekę lekarską na wsi. Bo oni nie potrafią żyć poza miejscem urodzenia...

— Jak jest stanowisko ZSL wobec regulacji cen?

— Będziemy to jeszcze konsultować. Ale powiem panu, co sam o tym myślę. Mleko i chleb powinny zdrożeć z chwilą ogłoszenia podwyżki cen skupu na mleko i zboże. Podwyżka cen jest konieczna. Należy ją przeprowadzić mądrze, sprawiedliwie, po szerokiej konsultacji, żeby nikogo nie skrzywdzić. Żeby niezadowolone nie było skierowane w stronę wsi. Ale rolnik też nie może na tym stracić. Musi być odpowiednia regulacja cen na środki produkcji.

— W gminach znajdują się tabliczki z napisem „KG ZSL”, ale nikt tam nie urządza.

— To prawda. W gminach czasem trafia się jeden etat dla działacza ZSL. No cóż, bazą dla naszej działalności są składki, a dotacje minimalne. Więc co tu mówić o kadrach etatowych? A jakie my mamy lokale? Warunki, w jakich pracuje Komitet Miejski ZSL w Pabianicach, urągają partii chłopskiej i władzom tego miasta. A na ulicy Karniszewskiej stoi pusty piękny budynek po byłym Urzędzie Gminy. Nie pozwól, aby nasi działacze pracowali w takich warunkach. Jeżeli mamy być godnym reprezentantem wsi i partnerem władz w sprawie Rzeczypospolitej, to warunkiem naszej działalności nie mogą zależeć od łaski administracji, lecz od stanowiska trzech partii sojuszniczych.

— Co zrobić, żeby nie dopuścić do wynaturzeń w ZSL?

— Właśnie to, co już robimy. Jeżdżymy po wsiach, odbywamy spotkania z prezydiami ZSL w terenie. Jedyną szansą na wzmocnienie partii chłopskiej jest ścisła współpraca z wiejskimi i gminnymi komitetami ZSL. Na nich musimy oprzeć swą działalność, to jest nasza siła. Musimy być blisko chłopskiej zagrody, rozmawiać z chłopem i pomagać mu w miarę możliwości. Bo słowne deklaracje nie nie zmieniają. Chłop musi poczuć wreszcie to „zielone światło”, które już tyle razy zapalało się i gasło.

— I to wam sprawi satysfakcję?

— Nie tylko to. Interesuje nas sprawa żywności. Wykorzystanie rezerw pozwoliłoby nam nie tylko wyżywić naród, ale także zwiększyć eksport.

— Może pan podać przykład takich rezerw?

— Około 1 mln ha ziemi jest w Polsce zaniedbane. Te grunty dają o 50 proc. niższe plony niż ziemia dobrze uprawiana. Gdyby zwiększyć plony zbóż tylko o 10 kwintali z hektara, to mieliśmyby dodatkowo milion ton zbóż. Gdyby zwiększyć nawożenie w gospodarce chłopskiej i uzyskać tylko o 1 kwintal zbóż więcej z hektara, nie musieliśmy w ogóle importować zboża. Będziemy o to walczyć. Jeżeli zobaczy pan pełne półki sklepowe, to będziemy sobie mogli powiedzieć, że spełniliśmy nasze zadanie.

Rozmawiał:
RYSZARD BINKOWSKI

ODGŁOSY 7

Dalszy ciąg ze str. 1

ców, zamiast ich eksponować. Pozostawanie w cieniu to duża zaleta. Nie wolno również grać, bo to jest natychmiast wyczuwalne — należy być naturalnym. Rzemiosło można się nauczyć: obserwacji, logicznego myślenia, poprawnego mówienia, ale refleksji, temperamentu, wrażliwości, wyobraźni, dociekliwości? Atakowany rozmówca mówi: „Ode mnie to nie zależy”. Dziennikarz musi zapytać: „A od kogo to zależy?” „To zależy od pana X” — tamten odpowie. „A co pan zrobił, żeby X o tym wiedział?” ... itd. itd.

WIESŁAW MACHEJKO: Dla mnie najważniejszą sprawą jest uzyskanie wiarygodności u widza. Nawiązanie z nim kontak-

tu. Dziennikarz musi pamiętać, że jest jednym z tych, do których mówi. Nie może więc mówić z wysokości cokołu, z wyjątkowej mównicy, a raczej z miejsca w zatłoczonym tramwaju czy z kolejką po mleko.

JERZY BINDER: Przed kamerą w studio zawsze towarzyszy mi trema, tym bardziej, że nigdy nie piszę swoich wystąpień, a mam jedynie tezy zarysowane w kilku punktach. Czuję na sobie miliony par oczu. Ta świadomość zobowiązuje mnie do tego, żeby nie starać się mówić prawdę. Jeżeli coś robiłem, to zawsze wierząc, że tak należy. Na początku lat siedemdziesiątych autentycznie wierzyłem w rozmach ekipy Gierka. Trwało to aż do 1974 roku, kiedy nastąpił kryzys paliwowo-energetyczny.

EDWARD MARCINIAK: Dziś osobowość to wiarygodność. To komentarz do zdarzeń zgodny z własnym sumieniem dziennikarskim, trafiający w odczucia społeczne. W studio głównie liczy się refleksje, umiejętność wybrnięcia z trudnych, nie przewidzianych sytuacji. W reportażu natomiast niezbędna jest wrażliwość, refleksyjny sposób patrzenia na rzeczywistość.

MAREK MARKIEWICZ: To nie musi być ktoś kogo ludzie kochają, ale ktoś kto przyciąga uwagę, kto przynajmniej sprawia wrażenie autentycznego w tym, co mówi. Widzowie łatwo potrafią odróżnić kogoś kto lubi swoją pracę od tego, kto ją po prostu wykonuje. Ten więc jest osobowością, kto mówi do ludzi a nie do kamery.

KRZYSZTOF KRUBSKI: Dobry jest ten, kto mówi bardzo prosto albo bardzo pięknie, wszelkie średniactwo jest w telewizji nie do zniesienia. Powodzenie mają zatem raczej zimni i opanowani, przegrywają natomiast gadatliwi, marudni i pretensjonalni. W pracy reportera niezbędny jest spryt, refleks i szybkie działanie. W telewizji szybko się jedzie na miejsce zdarzeń, szybko dokumentuje temat, szybko rozmawia i szybko montuje materiał. Trzeba zadawać pytania nie za krótkie i nie za długie. Bo jak za krótkie, to nasz rozmówca odpowie: tak albo nie, a jak za długie to się zagubi i odpowie: „mam w naszej fabryce 28 śrub o przekroju fi-8”.

JADWIGA WILEŃSKA: W

bo autentyczne osobowości jak np. Jerzy Urban, albo przygłupy, które nie mają świadomości co się z nimi dzieje — jak większość „kobietek” z magazynów rodzinnych, które mówią okragłe zdania i są całe szczęśliwe. W telewizji zaczyna się za każdym razem od początku. Kiedy zapalone zostaje czerwone światło, czuję jak na twarzy zastęga mi gipsowa maska — kryzys. Już się „wybiłaś”, ale musisz „wskoczyć”, bo inaczej będzie koniec. Mijają minuty, a ja ciągle myślę, że na początku było coś złe i to rzutuje na całą resztę programu. Nie można przestać myśleć, że na moje wejście na wizję pracuje mnóstwo ludzi i że nie można zepsuć tego zbiorowego wysiłku.

nich wzorem do naśladowania.

MICHAŁ WALCZAK: Jak ich spotykam na korytarzu to mówię: „Cześć rewolucjonści!” Bo rzeczywistość w sposób myślenia na pewno różni się od nas starych. Ciągłe więcej w nich emocji i dyskusji niż u nas. Ale widocznie tak jest i w telewizji. Jest dość brutalna instytucja i przychodzący do nas młodzi członkowie muszą się umieć sam obronić. A może nawet tak powinno być? Prawdą jest, że nasza firma nie ma działu podnoszenia zawodowych umiejętności. Ale oni nie bardzo uznają jakieśkolwiek autorytety. Moim zdaniem nie jest istotne, że wszyscy w tym kwilimy, ale istotne jest czy ktoś z własnej inicjatywy i nagorliwości storował się do

ty z zaistnieniem innej konwencji. Byłem pracownikiem Uniwersytetu Łódzkiego — o życiu miałem dość blade pojęcie. Praca w telewizji daje natomiast bezpośredni kontakt z życiem. Jednego dnia jestem na wyspiarskim smieci, drugiego w zakładzie psychiatrycznym, a trzeciego na wielkiej budowie. To bardzo pociągający sposób życia, lubię tę pracę.

KRZYSZTOF KRUBSKI: Przebić się, to zrobić dobrą rzecz o ważnej sprawie i to kilka razy. Przebić się, to przebić się do widza z własnym zdaniem. Do ośrodka nie można wejść przez okno — potrzebna jest przepustka. Reportaż odrzucony, jest odrzucony raz na zawsze i nie można go wysłać do innej gazety. Do tego systemu trzeba

się dopasować albo odejść.

JERZY BINDER: Jest element zmęczenia w naszej pracy. Wszystkie kolejne odnowy i upadki zniechęcają do podejmowania ambitniejszych przedsięwzięć. W miarę przyzwyczajania doświadczeń stajemy się bardziej ostrożni.

WIESŁAW MACHEJKO: Droga do zrealizowania reportażu jest łagodnie mówiąc cierniowa. Najpierw dziesiątki zabiegów żeby skierowano temat do produkcji. Później wybiłganie, żeby raczyli to w Warszawie obejrzeć. Redakcja reportażu w centrality miała własny budżet i własnych pracowników. Każda realizacja w lokalnym ośrodku uszczuplała budżet. Nie więc dziwnego, że panuje tu wilcze prawo konkurencji i duża niechęć przed towaram z zewnątrz, najlepiej więc, żeby go w ogóle nie oglądać. Wszelkie zapewnienia Warszawy np. Studia Faktu, że jest ono otwarte na inicjatywę lokalne to fikcja. Przecież komuś trzeba zabrać, żeby komuś dać. Taka jest niestety prawda.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI: Mógłbym na ten temat napisać książkę. Nie się nie zmieniło w stosunkach centrali z regionem. Decyzje dotyczące spraw programowych i finansowych pozostają w rękę Warszawy. Jest to na dłuższą metę nie do strawienia. Tym bardziej, że w centrality panuje balagan. To rozdział zaopatrzony goryczą i żółcią. Tytuły następnych to brak taśmy. Brak benzyny i środków transportu. Pomimo tych kłopotów powstaje dokumentalny zapis tego co się w Łodzi dzieje. Jest to jednak metoda partyzancka. Często na prywatne ryzyko szefa.

JADWIGA WILEŃSKA: Trzeba mieć silny system nerwowy, żeby działać w tej machinie. Nadwrażliwi ludzie nie przeżyją tam. Rozmawiam z bohaterem reportażu trzy tygodnie. Na próbach jest znakomity. W końcu przejeżdżamy z kamerą i zupełnie kłops — facet mówi zdaniami z pierwszej strony „Trybuna Ludu”. A zgenerowany po kilkakrotnych przemyśleniach: „Co pani ode mnie chce, przecież ja mówię tak jak w telewizji!” Głównym moim celem jest zawsze zrobić dobrą rzecz przewyższającą brak taśmy, brak czasu i złe humory ekipy. Największa udręka jest jednak brak taśmy. Na ten sam reportaż koleży w Wytwórni Filmów Dokumentalnych dostają 3-4 razy więcej. Dwa lata temu w okresie zimy stulecia byliśmy z ekipą w okolicach Płocka. Zostaliśmy odcieni od świata. Odcinek 40 kilometrów pokonywałam dwa dni. Odkopywałam nas ciągnik gąsienicowy. Można było zrobić cudowne zdjęcie, ale nie mieliśmy ani metra zapasowej taśmy.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI: Uruchomiłbym blok programowy, zajmując się sprawami ludzi żyjących w naszej aglomeracji. Słagałbym do studia władze miasta na stałe konferencje prasowe, rozwi-

nałbym reportaż, który ma dzisiaj postać karłowatą. Częściej wykorzystywałbym wó reporterski do bezpośredniej transmisji.

WIESŁAW MACHEJKO: Musi nastąpić większe wykorzystanie ośrodków lokalnych. Obecnie ośrodki te dają w sumie 30 proc. programu, a sama Warszawa aż 70 proc. Drugi program do tej pory nie ma żadnej sensownej koncepcji. I tu widzę szansę. Przy większej autonomii moglibyśmy do współpracy pozyskać ludzi znaczących (a w Łodzi takich nie brak), stworzyć im możliwości stałego zaistnienia w programie. Podstawą jest jednak niezależność budżetowa i autonomia programowa ośrodka. A rzeczy te ciągle istnieją jedynie w sferze marzeń.

EDWARD MARCINIAK: Łódzki ośrodek winien spełniać rolę kulturotwórczą, a do tej pory nie spełnia tej roli. Telewizja mogłaby stać się terenem spotkań (nie tylko przed kamerami) ludzi kultury, sztuki, techniki. Powinno to być miejsce „drożdżowe”. Niestety, wielu intelektualistów wręcz omija gmach na Sienkiewicza.

MICHAŁ WALCZAK: Wprowadzenie 8 niezależnych zupełnie ośrodków telewizyjnych nie byłoby sensowne. Istnieją przecież obowiązki ogólnopolskie, integracyjne, potrzeba wspólnej idei programowej. Nie stoi to jednak w sprzeczności z koniecznością zwiększenia autonomii ośrodków, które winny w końcu pokazać co potrafią. A jeśli nawet nie dźwignęłyby ciężaru, nie sprzysięły sytuacji to zawsze można wrócić do starego modelu. Dotychczas ośrodki nie uczestniczą w planowaniu programowym, są traktowane po macoszemu, poprzez optykę „warszawskich salonów”. Z materiałem trzeba się za każdym razem od nowa przebić przez mur obojętności, niechęci, przez organizacyjny balagan, centrality. Przepychanie do Warszawy reportażu jest po prostu zwykłym skandalem.

EDWARD MARCINIAK: Kiedyś na karierze dziennikarskiej ważyło nieprawidłowe wymienienie funkcji któreś z sekretarzy. Dziś już tak nie jest. Zniknęło wiele tematów, tabu, jak choćby: narkomania, służba zdrowia, warunki pracy itd. Powstanie „Solidarności” wróciło wielu ludziom wiarę. Stali się bardziej odważni, bardziej bezkompromisowi.

KRZYSZTOF KRUBSKI: Zmiana polega na tym, że kiedyś odmówienie wykonania zadania powodowało u niektórych szefów wściekłość, a dziś wprowadza ich jedynie w osłupienie.

MAREK MARKIEWICZ: Przygotowywałem program o obyczajach dworskim. Był w nim prezentowany wiersz Krasickiego: „Lud prosty a szczerzy jak z łupin tuszcy czeleka z dobrej manery. Gdzie nie pyta, kto zrobił, lecz o co rzecz chodzi. Wszystko zwie po imieniu. Piotr ukradł, więc Piotr złodziej...” — w tym momencie słyszę głos z reżyserki: „Panie Marcinku, może jednak wstawimy Jan a nie Piotra?”. Słowa zakazów cenzury nie była aż tak szeroka jakby się wydawało. Niszczące spustoszenie siał natomiast samocenzura. Obawa, że zostaniemy posądzeni o złe intencje, a na to już pracował cały system. Teraz sytuacja jak gdyby się nieco poprawiła. Na szefów jest wywierana większa presja zespołu — co już samo w sobie powoduje większy margines swobody. Ciągłe jednak brakuje rzetelnych kryteriów oceny dziennikarza. Ciągłe jeszcze największą nagrodą jest brak nagany. Czyli jak zaczyna się otrzymywać nagrody, to jest to pierwszy dzwonek ostrzegawczy, że jest niedobrze.

JERZY BINDER: Zmieniło się bardzo niewiele i to na bardzo krótko. W tej chwili nastąpił już powrót do szarej przeciętności. Program telewizyjny jest manipulowany. Odwielić czuć było przez dwa miesiące trzy miesiace — jeden szerszy oddech. Nie godziło się wtedy na zmiany tekstu, szanując prawa autora. Zródel tego zła upatrzyć w nadmiernej centralizacji naszej firmy. Kiedyś ośrodki lokalne miały swoją indywidualną twarz, swoje oblicze, swoje plany i swoich spikerów. Dziś nasze programy są emitowane z Warszawy. Jesteśmy ubezwłasnowolnieni. Decyzje jakie podjął Szczepański, Gierka i Łukaszewicz obowiązują nadal. Powstanie „Solidarności” nie ma większego wpływu na programowy kształt telewizji. To jest gazeta, która ogląda codziennie 15 milionów ludzi w związku z tym zmiany będą zachodziły bardzo powoli.

EDWARD MARCINIAK: Zmieniło się bardzo niewiele i to na bardzo krótko. W tej chwili nastąpił już powrót do szarej przeciętności. Program telewizyjny jest manipulowany. Odwielić czuć było przez dwa miesiące trzy miesiace — jeden szerszy oddech. Nie godziło się wtedy na zmiany tekstu, szanując prawa autora. Zródel tego zła upatrzyć w nadmiernej centralizacji naszej firmy. Kiedyś ośrodki lokalne miały swoją indywidualną twarz, swoje oblicze, swoje plany i swoich spikerów. Dziś nasze programy są emitowane z Warszawy. Jesteśmy ubezwłasnowolnieni. Decyzje jakie podjął Szczepański, Gierka i Łukaszewicz obowiązują nadal. Powstanie „Solidarności” nie ma większego wpływu na programowy kształt telewizji. To jest gazeta, która ogląda codziennie 15 milionów ludzi w związku z tym zmiany będą zachodziły bardzo powoli.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI: Zmalała ilość dyrektyw i nakazów. Na pewno wiele osób uważa, że w minionym okresie flamażono ich, ale nie przypominam sobie, aby protestowali i podnoszenie dziś takich zarzutów jest nieuczciwe. Na pewno teraz łatwiej się powiedzieć „nie”. Zmieniło się z całą pewnością jedno; wzrosła świadomość, że jesteśmy oglądani i kontrolowani przez społeczeństwo. Powstanie „Solidarności” wpłynęło na większe zdemokratyzowanie stosunków międzyludzkich w firmie. Załoga uzyskała reprezentanta swoich interesów. Została również dokonana rewizja możliwości dziennikarskich i spłaszczenie struktur zarządzania. Ale wszystko to odbyło się bez większych sensacji. W tym ośrodku nie było nikogo przywiezionego w tecze.

Co bym zrobił?

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI: Uruchomiłbym blok programowy, zajmując się sprawami ludzi żyjących w naszej aglomeracji. Słagałbym do studia władze miasta na stałe konferencje prasowe, rozwi-

MICHAŁ WALCZAK: Na pytanie czy coś się u nas zmieniło autorytatywnie mogę odpowiedzieć tylko telewizzowie. Wszystko inne będzie jedynie deklaracją. W moim subiektywnym przekonaniu jednak dziennikarz telewizyjny częściowo przynajmniej przestał być dworskim celeberrantem, atrapą trzymającą jedynie mikrofon. Sierpień przyniósł nadzieję, że może wrócić znow do łask Kiszkowski ideał „szalejącego reportera”, który może dotknąć każdego tematu, pójść tropem każdej sprawy, aż do jej ostatecznego wyjaśnienia. Nie ukrywam, że odrodzenie rangi reportera miejskiego z kamerą jest moją ideą fix. Wracę do łask w naszym zawodzie wiedza, rzetelność i fachowość — a to rokuje nadzieję. Zresztą o tych zasadach mówiło się w ośrodku od dawna. Może po trochu dzięki temu ominęły nas wielkie burze, ja ciągle jestem na stołku naczelnego redaktora, choć sam już czasami mam tego wszystkiego dosyć. Sierpień to jeszcze jedno doświadczenie, przekonałem się, że współpracuje z ludźmi, na których w ciężkich chwilach mogę liczyć. Tu nie chodzi tylko o dziennikarza, ale także o te dziesiątki anonimowych dla widzów pracowników telewizji, którzy już od kilkunastu lat związani są z firmą i autentycznie telewizję kochają. Ta myśl pomaga mi w chwilach chandry i wątpliwości.

JADWIGA WILEŃSKA: Tam, gdzie było najgorzej zmiany nastąpiły najszybciej. Dłatego w telewizyjnej „Solidarności” jest o wiele więcej dziennikarzy niż w prasie.

EDWARD MARCINIAK: Kiedyś na karierze dziennikarskiej ważyło nieprawidłowe wymienienie funkcji któreś z sekretarzy. Dziś już tak nie jest. Zniknęło wiele tematów, tabu, jak choćby: narkomania, służba zdrowia, warunki pracy itd. Powstanie „Solidarności” wróciło wielu ludziom wiarę. Stali się bardziej odważni, bardziej bezkompromisowi.

KRZYSZTOF KRUBSKI: Zmiana polega na tym, że kiedyś odmówienie wykonania zadania powodowało u niektórych szefów wściekłość, a dziś wprowadza ich jedynie w osłupienie.

MAREK MARKIEWICZ: Przygotowywałem program o obyczajach dworskim. Był w nim prezentowany wiersz Krasickiego: „Lud prosty a szczerzy jak z łupin tuszcy czeleka z dobrej manery. Gdzie nie pyta, kto zrobił, lecz o co rzecz chodzi. Wszystko zwie po imieniu. Piotr ukradł, więc Piotr złodziej...” — w tym momencie słyszę głos z reżyserki: „Panie Marcinku, może jednak wstawimy Jan a nie Piotra?”. Słowa zakazów cenzury nie była aż tak szeroka jakby się wydawało. Niszczące spustoszenie siał natomiast samocenzura. Obawa, że zostaniemy posądzeni o złe intencje, a na to już pracował cały system. Teraz sytuacja jak gdyby się nieco poprawiła. Na szefów jest wywierana większa presja zespołu — co już samo w sobie powoduje większy margines swobody. Ciągłe jednak brakuje rzetelnych kryteriów oceny dziennikarza. Ciągłe jeszcze największą nagrodą jest brak nagany. Czyli jak zaczyna się otrzymywać nagrody, to jest to pierwszy dzwonek ostrzegawczy, że jest niedobrze.

JERZY BINDER: Zmieniło się bardzo niewiele i to na bardzo krótko. W tej chwili nastąpił już powrót do szarej przeciętności. Program telewizyjny jest manipulowany. Odwielić czuć było przez dwa miesiące trzy miesiace — jeden szerszy oddech. Nie godziło się wtedy na zmiany tekstu, szanując prawa autora. Zródel tego zła upatrzyć w nadmiernej centralizacji naszej firmy. Kiedyś ośrodki lokalne miały swoją indywidualną twarz, swoje oblicze, swoje plany i swoich spikerów. Dziś nasze programy są emitowane z Warszawy. Jesteśmy ubezwłasnowolnieni. Decyzje jakie podjął Szczepański, Gierka i Łukaszewicz obowiązują nadal. Powstanie „Solidarności” nie ma większego wpływu na programowy kształt telewizji. To jest gazeta, która ogląda codziennie 15 milionów ludzi w związku z tym zmiany będą zachodziły bardzo powoli.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI: Zmalała ilość dyrektyw i nakazów. Na pewno wiele osób uważa, że w minionym okresie flamażono ich, ale nie przypominam sobie, aby protestowali i podnoszenie dziś takich zarzutów jest nieuczciwe. Na pewno teraz łatwiej się powiedzieć „nie”. Zmieniło się z całą pewnością jedno; wzrosła świadomość, że jesteśmy oglądani i kontrolowani przez społeczeństwo. Powstanie „Solidarności” wpłynęło na większe zdemokratyzowanie stosunków międzyludzkich w firmie. Załoga uzyskała reprezentanta swoich interesów. Została również dokonana rewizja możliwości dziennikarskich i spłaszczenie struktur zarządzania. Ale wszystko to odbyło się bez większych sensacji. W tym ośrodku nie było nikogo przywiezionego w tecze.

Do druku przygotował:
MAREK MILLER

LUDZIE „GADAJĄCEJ TAPEY”



Z realizacji reportażu W. Machajki pt. „Trzecia” o nocnej pracy włókienników. Foto. T. Zarzycki

O młodych

WIESŁAW MACHEJKO: W

ubiegłych latach polityka kadrowa naszej firmy była taka, że przychodził tu kto chciał. W związku z tym duży jest procent ludzi przypadkowych, bez autentycznego przygotowania zawodowego. Uważam, że dziennikarstwo telewizyjne powinno być ostatnim etapem zawodowej kariery, a nie pierwszym. Jeżeli ktoś chce wykonywać ten zawód, to najpierw musi umieć pisać czyli przejść przez pracę w gazecie, później przez radio — gdzie niezmiennie istotną jest pokonanie progu operowania słowem, umiejętność prowadzenia rozmowy. Przychodząc potem do telewizji powinien jeszcze nauczyć się mówienia obrazem. Jeżeli natomiast ktoś przychodzi bez przygotowania to często jest to człowiek sam dla siebie stracony, bo nie umie. Jeżeli montażystka wyrzuci źle postawione przez dziennikarza pytanie to on tylko stoi w kadrze i trzyma mikrofon. Można by go spokojnie zastąpić statywem. Ale statyw nie nie kosztuje, a on trzyma ten mikrofon za 5 tys. złotych. Niestety, młodzi ludzie często uważają, że zjedli wszystkie rozumy i lekceważą doświadczenia starszych kolegów.

JERZY BINDER: Młodzi dziennikarze w naszym ośrodku nie mają, praktycznie rzecz biorąc, żadnej opieki — w sensie twórczym. Wśród starszych dziennikarzy są dwie szkoły — wpuścić na głęboką wodę i jak nie utonie to sam się nauczy. I druga, czeladniczego przyuczenia do zawodu. Ta pierwsza obowiązuje głównie w prasie i tam ma swoje uzasadnienie, bo młody człowiek chodząc po mieście z notetem może się wykazać własną inwencją. W telewizji sam niczego nie zrobi. Tu jest się uzależnionym od stu różnych osób. Opieka i wprowadzenie jest niezbędne — ale w praktyce nie istnieje. Młodzi wyróżniają się jako grupa. Razem rozmawiają, robią wspólne reporterskie wyprawy w teren. Wiele z nich jest bardzo zdolnych. Ale bywa również, że są powierzchowni, przechodzą od jednego tematu do drugiego bez głębszej analize. Może to winą nas starych, że nie staliśmy się dla

przodu. I w tej sprawie mam dobrą opinię o ludziach, z którymi współpracuję. Także i o młodych.

O sobie

EDWARD MARCINIAK: W tej pracy wątpliwości nie opuszczają człowieka nigdy. Trzeba je jednak pokonywać, żeby w ogóle móc wykonywać ten zawód. Jeszcze na studiach, kiedy oglądałem telewizję to byłem głęboko przekonany, że ja to wszystko zrobiłbym inaczej — inaczej, to znaczy, oczywiście, lepiej, bliżej życia, bliżej prawdy. Już później musiałem sobie w końcu zadać pytanie: zostać czy odejść... Jednak zostałem, bo pomimo wszystkich mankamentów i niebezpieczeństw telewizja to niezwykle wciągająca namiętność.

JADWIGA WILEŃSKA: Kiedy przyszedłem do pracy w telewizji wydawało mi się, że będę robiła felietony o wystawach fińskijskiego szkła czy coś takiego — lekkie, łatwe i przyjemne. Zobaczyłam jednak, że z tej strony ekranu wszystko wygląda inaczej. Pojechałam z ekipą sfilmować akcję sadzenia drzewek, ale na miejscu okazało się, że nie ma ani ludzi ani sprzętu. Chciałam się jednak wykazać. Znalazły się więc dzieci z okolicznych domów, znalazły się również łopaty. Temat się ukazał. To było na początku mojej pracy. Długo o tym myślałam. Dużym złem jest brak w naszej firmie miejsca na ryzyko, a bez ryzyka nie powstają rzeczy naprawdę wartościowe. W telewizji niebezpiecznie łatwo jest zarobić pieniądze na rzeczach małych i nieważnych, zbyt często kryterium oceny dziennikarza jest dyspozycyjność a nie oryginalne myślenie. Nie mam poczucia, że jestem wychowywana. Najlepszym wychowywaniem jest u nas nieprzeszkadzanie.

MAREK MARKIEWICZ: Trudno jest mówić o tym, że nasz rozwój w telewizji jest konsekwentną drogą, ponieważ wszystko odbywa się na zasadzie przypadku. Był program i nagle został zdjęty. Nie wiem dlaczego. Stąd poczucie dużego relatywizmu. To nie jest skargę, ale specyfika tej pracy. Twarz, która ogrywała się w jednych sytuacjach zostaje zaszklona. Przychodzą kłopo-



ROMAN POLAŃSKI: „Sam jestem trochę sentymentalny, nie wstydzę się wzruszeń prostych ludzi”

Pod nieobecność wielkich pisarzy rząd dusz dostał się w ręce reżyserom. Niestety. Można by tu zresztą zastosować liczbę pojedynczą: Wajda, bo poza tym wielkich reżyserów także brak. Wajda załatwia polską klasykę oraz polską historię najnowszą, nie unikając również w swoim natchnionym kinie walczącej publicystyki. Dzięki temu ludzie biją mu brawo przy otwartej kurtynie. Miłoszowi też biją, ale Miłosz mieszka poza krajem, będąc raczej ambasadorem polskiej kultury niż wieszczem.

Jeżeli mowa o Romanie Polańskim, który odwiedził Polskę w tym samym czasie, co Miłosz, to ja naprawdę nie wiem, czy jest on dobrze widziany czy źle, aczkolwiek sława jego rozciąga się po krańce świata. Polański przyjechał w ciszy i wyjechał w ciszy, nie licząc paru ulomnych migawek w telewizji i paru byle jakich wzmianek w prasie. Acha, był również list redaktora Kura, skierowany do tygodnika „Rzeczyniści”. Czytamy tam między innymi: *Jeżeli chodzi o sprawę reżysera filmowego, Romana Polańskiego, której osnową była zbrodnia (?), polegająca na podstępny zwabieniu trzynastoletniej dziewczynki i jej zgwałceniu po uprzednim odurzeniu narkotykami, pozostaje i dzisiaj przy nagannej ocenie tego odrażającego moralnie i karygodnie czynu.*

Polańskiemu wprawdzie nikt winy nie udowodnił, wręcz przeciwnie, w najpoważniejszej prasie światowej zapoinowano, że była to wredna prowokacja, okazuje się jednak (nie po raz pierwszy) iż Kur wie lepiej:

30 czerwca Polański przyjechał do Łodzi na spotkanie ze studentami szkoły filmowej. Wiadomość o tym przekazał mi telegraficznie przyjaciel reżysera, Andrzej Kostenko, oraz, telefonicznie związana z uczelnią Maria Kornatowska. W prasie oczywiście anonosów nie było, nie sądzę jednak, aby łódzkie liberalne gazety przyłączyły się do powszechnej zмовy milczenia, ot, po prostu, nie zostały w porę powiadomione o fakcie.

Dobra!

Punktualnie o dwunastej Kostenko przywiózł Polańskiego do Szkoły, wysiedli z auta, z głosników gruchnęła powitalna muzyka, a oni szli, jeden za drugim, przez słoneczny dziedziniec niby dwaj bohaterowie westernu. Było to wzruszające. Kwiaty Pocałunek piegowatej studentki. Kostenko powiedział mi, że przekazał Polańskiemu „Powrót Wabiszczurka” z dedykacją, ale jeśli chce z mistrzem rozmawiać, to lepiej w Warszawie, bo: to i owo, tak i siak.

Spotkanie zostało zainscenizowane w małej salce, dużo fleszów i fotoreporterów, kamery, dwóch dziennikarzy, jakiś chłopczyk w paradymsowym kostiumie rozwalony w złocistym fotelu niby akt Modiglianego. Stary profesor orzekł, że wobec tłoku i niezmiernego zainteresowania, imprezę należy przenieść do większego pomieszczenia, na co przedstawiciel studentów wrzasnął: — Nie

Pertraktacje trwały długo i niewiele chyba brakowało, aby doszło do strajku. Profesor swoje, student swoje, przy czym ten pierwszy miał rację a ten drugi był uparty, nie na tyle jednak, aby przekonać ludzi, którzy poszli w końcu za głosem rozsądku i zmienili lokal.

Polański usiadł na krześle, a sfera naprzeciw niego. Polański ogolony, w granatowej koszuli i białej eleganckiej marynarce, sfera natomiast, jakby chciała mu ubliżyć, w płaszczach, w brodach, z tygodniowym zarostem. Polański był uprzejmy. Sfera mruczyła albo agresywna. Kilku gnojków przyjęło miny znudzone, kilku boleściwie, niby cierpiący na hemoroidy urzednicy; ten żuł gumę, tamten palił, jeszcze inny próbował sięgnąć na siebie uwagę towarzysza, podrażniony, iż nie jemu, wszakże genialnemu, dostała się pierwsza rola w koncercie.

Polański spytał, jak sobie wyobrażają spotkanie, a jeden szczawik odpowiedział:

— Na luzie!
Na to Polański:

— Ja jestem na luzie. A wy?
— My też!
— No to zaczynamy.

I zaczęło się coś bardziej w stylu konferencji prasowej — una rueda de prensa, que dicen los Españoles — niż w charakterze seminarium, w czasie którego udzielał adeptom sztuki filmowej nauk i pouczeń:

Krótko mówiąc: grad pytań. Ostre strzelanie, w myśl zwodniczego przeświadczenia, iż: nas tu, chłopaków ze Szkoły Filmowej, żaden zwapniały frajerek zaskoczy nie potrafi.

Pytania były różne. Dotyczyły między innymi szkoły, do której wrócił nie bez wzruszenia po dwudziestu paru latach. W tym względzie wrażenia Polańskiego nie odbiegają raczej od powszechnych stereotypów. Szkołę zazwyczaj opuszczamy bez żalu, potem jednak, w miarę upływu lat, zaczynamy ją idealizować. Nie dlatego, że takich wspaniałych mieliśmy profesorów i że tak bardzo lubiliśmy grzebać się w podręcznikach, raczej dlatego, że jest to uświadomiona lub nie uświadomiona tęsknota za młodością. Źródła naszych sympatii są zresztą dosyć enigmatyczne: można tęsknić za atmosferą klasy, za twarzami kolegów, którzy stali się w międzyczasie zupełnie innymi ludźmi i dzisiaj patrzymy na nich z uczuciem zażenowania, za schodami, po których zjeżdżaliśmy na krzesłach i ta niewytworna, niewygodna rozrywka sprawiała nam większą przyjemność niż późniejsze szaleństwa w najsławniejszych lunaparkach. Polański mówi, że lata spędzone w szkole zalicza dzisiaj do najszcześniejszych w życiu. I na tym w zasadzie zamyka się cała kwestia. Przynajmniej dla niego. Dla nas natomiast wynika stąd morał — banalny i oczywisty: nieważne, że podbiłeś świat i że stoją przed tobą otworem wszystkie drzwi, nieważne pieniądze, rozgłos, kobiety i baseny wypełnione błękitną wodą. Chryste Panie! Streszczam teraz piosenkę Tadeusza Woźniakowskiego

Do pewnego czasu mistrz odpowiadał na pytania spokojnie, potem któryś z chłopaków zdołał go jednak wyprowadzić z równowagi:

— Pan, panie Polański, przestał robić filmy dla ambitnej widowni, takie choćby jak *„Lokator”* czy *„Wstręt”*. Pan spuścił z tonu. Pan stał się sentymentalny, komercyjny i coś tam jeszcze. Pańska twórczość zachwyca na pewno sprzątaczkę i praczkę.

Odpowiedź brzmiała:

— Nie widzę w tym nic złego. Skąd ta pogarda dla sprzątaczek i praczek? Sam jestem trochę sentymentalny, nie wstydzę się wzruszeń prostych ludzi.

— Nie sądzi pan jednak, że to jest łatwiejsze, niż wzruszyć ludzi myślących? W pana najnowszej twórczości można wprawdzie znaleźć sceny niebanalne, odwołujące się do intelektu człowieka, jednakże ogólne wrażenie wiąże się raczej ze strychem filmowym, tak jakby pan wzorował się na literaturze dziewiętnastego wieku. Na przykład *„Tess”*. Uważa pan, że jest to dobry film?

— A pan uważa, że zły?

— Powiedzmy...

— Więc zrób pan lepszy.

— Teraz się tak nie kręci — mówi student i zaczyna sypać przykładami prawdziwie nowoczesnego kina i prawdziwie nowoczesnych reżyserów. Jednym słowem, uczy gościa jak się kręci.

ANDRZEJ MAKOWIECKI POLAŃSKI ZDEJMUJE MARYNARKĘ

go „Młodym być” — stary szmonces, do którego nigdy nie miałem serca, zahaczam także jednym skrzydłem o Mickiewicza a drugim o Krasińskiego: „Litwo, Ojczyzno moja...”

Wstał gość i pyta:

— Czego się pan w szkole filmowej nie nauczy?

Polański na to, że pytanie jest nierozsądne:

— Równie dobrze mógłby pan zapytać, ile chleba w życiu nie zjadłem, ilu książek nie przeczytałem, i tak dalej. Filmy krótkometrażowe kręciłem już na trzecim roku studiów, natomiast opuszczając uczelnię byłem w pełni przygotowany do robienia długiego metrażu; ukrótkość przecież powstała „Nóż w wodzie”, który podobnie jak *„Dwaj ludzie z szafa”* zdobył uznanie międzynarodowej krytyki torując mi drogę do światowego kina. Jednym słowem, szkoła była potrzebna — nauczyłem się w niej, jeśli chodzi o warsztat, wszystkiego tego, co powinien umieć młody reżyser.

— Co pan sądzi o polskim filmie?

Pada nazwisko Andrzeja Wajdy. Niektóre jego filmy są świetne, niektóre porażające. Aby nakręcić kilka lat temu „Człowieka z marmuru”, do tego potrzebny był nie tylko talent, ale również szalona odwaga. Zrozumiałe, że studenci mają w tym wypadku odmienne zdanie: Wajda to klasyk, oni zachwycają się raczej awangardą, szpicą sztuki filmowej, którą tworzą dzisiaj młodzi i gniewni reżyserzy — żadnych sentymentów, żadnych wzruszeń, forma ważniejsza od treści, fajerwerki warsztatowe, coś w rodzaju kinowej antypowieści, w której naczelną ambicją twórcy jest, aby nikt go nie zrozumiał i aby przypadkiem ktoś nie zasiadł na widowni. Polańskiemu obrzydły jednak nudne i kameralne filmy. Ciesza go długie kolejkę przed kasami i milionowa publiczność. Co do formy — widział wiele wspaniałych, szkolących i mądrych filmów, które miały ewidentne braki warsztatowe — nienadzwyczajnych aktorów, błędy kompozycyjne, dłużyzny, skróty — a mimo to potrafiły podbić umysły i serca. A więc, jednak, treść! Zrozumiał to już dawno, właśnie tu, kiedy któregoś dnia spotkał się z Cybulskim. Cybulski przyszedł z walizką albo z teczką. W teczce były kasety. Powiedział: mam bardzo interesujące filmy, powinniśmy je koniecznie zobaczyć. — Do wyświetlenia ich potrzebny był protektor. Szkolny operator nie chciał go pożyczyć, ustąpił dopiero po wypiciu dwóch litrów wódki. Filmy okazały się pornografią. Patrząc na nie Polański zrozumiał raz na zawsze, że jednak najważniejsza jest treść.

Nieznany w Polsce film „Człowiek-słoń” zachwyca go mimo wszystkich niedostatków formalnych.

Jeden ze studentów widział ten obraz i powiedział, że nie wie, jak czymś tak słabym można się zachwycić.

Polański:

— Może pan po prostu nie zna w wystarczającym stopniu angielskiego, aby go w pełni zrozumieć?

Student:

— Wszystko zrozumiałem, ponieważ był bardzo dobry przekład na francuski.

W ten sposób audytorium dowiedziało się nie tylko, że student zna doskonale dwa języki obce, ale również, że wrócił niedawno z zagranicy.

Argument był niepodważalny i wystarczająco silny, aby Polański wygrał ze szkołą mecz na stu szachownicach. I na tym w gruncie rzeczy można by historię skończyć. Wszystkich, zadanych pytań przytaczać nie warto, jako że większość odznaczała się wstrząsającą beczelnością albo zniewalającą głupotą, czemu trudno się dziwić — proces dojrzwiania odbywa się w bólach i powoli. Pozostaje nadzieja, że ci, którym zabrakło wyobraźni, aby docenić fakt, iż mają okazję rozmawiać twarzą w twarz z człowiekiem, który jutro może jeść obiad z prezydentem, a pojutrze z samym przeświełym następcą tronu, że ci, którym tej wyobraźni zabrakło, zreflektują się wcześniej czy później, bo nie to w końcu było ważne, co oni Polańskiemu mają do powiedzenia (choćby w czterech obcych językach), a odwrotnie.

Pozostaje więc tylko powiedzieć parę słów o „Amedeuszu”, sztuce, o którą także go pytano i którą wyreżyserował w rozpadającym się teatrze na Woli.

Dlaczego? Dlaczego pan to zrobił?

Polański odkrywa się. Mówi, że... myślał już o tej sztuce od paru lat. Dlaczego akurat Amedeus? Ano, czuje się duchowo spokrewniony z Mozartem. Jest chyba także podobnej konstrukcji fizycznej — niewysoki, nerwowy. Reżyserować i grać Mozarta to tak, jakby opowiadać o sobie. Wielka to dla niego sprawa, w której, jak nie trudno się domyślić, pieniądze nie mają żadnego znaczenia, liczy się tylko satysfakcja artystyczna. Dla tej satysfakcji właśnie zdecydował się przyjechać co parę dni do Warszawy, krążyć między Francją i Polską w czasach nabrzmiałych od społecznego niepokoju. W sklepach pustki, a jak nie pustki, to wielkie kolejki przed nimi, trudno dobrze zjeść, dobrze wypić i dobrze zahulać, a przecież czuje się cholernie szczęśliwy. Już dawno nie czuł się tak bardzo szczęśliwy. Co za wspaniała atmosfera w teatrze! Z początku aktorzy, jak to aktorzy, darli się między sobą o role, choć do niego od razu byli nastawieni życzliwie. Potem pogodzili się z tym, że jest tylko jedna główna rola i że nie wszyscy mogą ją zagrać. Powiedział im: nie myślcie o tym, jak długo kto jest na scenie, to nieważne, epizody liczą się tak samo. Liczy się również to, najbardziej, że wspólnie, wszyscy razem, pracujemy nad tą sztuką, że jest to nasza wspólna przygoda, i że kiedyś będzie to nasze wspólne wspomnienie.

Nigdy nie przypuszczałem, że Polański ma w sobie tak dużo pięknego, nieklamane ciepła, aczkolwiek jako chłopak wzruszyłem się, kiedy dwaj ludzie z szafa wracali do morza traski- wie omijając babki z piasku, które stawiał na plaży jakiś brzdąc. Polański spotkał się ze studentami, ale jeśli ktoś w tym towarzystwie był młody, to właśnie ten wspaniały, bez mała pięćdziesięcioletni facet, który kiedyś tam dał sobie słowo, że życie nie będzie jeździło na nim okrakiem. Wracając do kraju, czy raczej: od- wiedzając go po latach, Polański nie wdał się w politykę, nie puszczając jadu, nie jęczył, aczkolwiek stale podkreślał, iż jest Polakiem.

Portret, jaki nakreśliło mu kilka hien dziennikarskich za granicą, także nieraz powielany w kraju, rozpada się, kiedy obejrzy się jego filmy albo kiedy się go posłucha.

I właśnie dlatego można mieć żal do naszych twardogłowych redaktorów izolujących go pontonami ciszy. Panowie, o-co-tu-taj cho-dzi?! Komu wy chcecie się podliznąć, a komu zrobić na złość? W każdym cywilizowanym kraju na świecie, dobrze to czy niedobrze, na takich gości jak Polański „polują” zgraje żurnalistów i wielbicieli. U nas w recenzji z „Amedeusza”, którą pomieścił „Express Wieczorny”, nie wymieniono nawet jego nazwiska. Należałoby „Trybuna Ludu” sukces sztuki przypisać Łomnickiemu, Polańskiego wspominając tylko raz, że aktor z niego drobny, amatorski.

Kiedy w początkach lipca byłem w Warszawie, Polański wyjeżdżał akurat do Paryża. Nie szybko wróci. Nie sądzę, aby był rozczarowany. To, co ma do powiedzenia artysta, odkładając się powinno w ludzkich sercach, przeznaczeniem młodszych gazet jest koszt na śmieci.



Henryk Hartenberg

RZECZ O POLSCE

Wrzesień wybuchnął złotym liściem

Wtedy pociąg przetrwał świt
I niebo runęło na bruk
I pęknięta ziemia zachłystnęła się krwią
I miasta legły w ruinach
I groby wdeptano w piasek
A w zapleśniałych chatach
Umarle kolyski wyznaczały drogę
W krajobraz dymiący

I nie zginęła

Na polach wyschły kłosa zboża
Zwiadł kwiat czerwonego maku
Głębiej pochylały się wierzby nad mroklivą wodą
A w głuche południe (zamulone gęstą krwią)
Słońce odchodziło w ciszę człowieczej rozpacz
I drogę do Domu znaczyły groby — jak wyzwanie

Czas wydarty wrogiom trwał

Nocą szli ludzie przez kraj
Przerzucali mosty, przynosili bunt
Zapalali pochodnie — jak gwiazdę
A czerwone jego światło otwierało bramy
(Tak jak się otwiera Wielkie Wyzwolenie)
I kroplami nadziei zapelniali oczy — czuwające

I stała się Rzecz Ludzka

Oto wicher siłą gniewu
Przeszedł przez zbolalą Ojczyznę
I piorun uderzył w krzyżacką dziedzicę
Oto żelazny potok otworzył drogę na północ i południe
Na wschód i zachód — aż do granicy Nieskończoności

I wybuchnął Dzień — Wolny, Czysty i Sprawiedliwy

I miasto wyszło mi naprzeciw i ulica nie ocalała
I owoc w którym wilgoć i ogień
I ziemia cieżka od chleba i dojrzała sliwa
I sztandar odbudowanego Domu
I hymn nowego Nieba
I pęk białych róż zakwitły w ogrodach

Kraju mój

Słowem gorącym rzeźbię Twój obraz
Kłeski i stawiania się
Stokrotnym echem Manifestu
Otwieram niebo
Pieśnią dźwięczącą w bardonie powracam w radość
I piec
W historii żywych i umarłych
W historii Niepodległych
I wiem — wszystkie drogi i ścieżki prowadzą
Do Ciebie — jak miłość w sto barw ubrana
Kraju mój — nieustraszy jak spłz spietrzony
Nad głową

Niech będzie błogosławiony każdy kłos zboża
Dzwoniący w dionizach człowieka
Kaźda wierzba szumiąca nad rzeką pełną gwiazd
I ziemia w której strumień życia
I ziarno rozkwitające o różowym świecie

Niech będzie błogosławiona pamięć
Wysowna w pejzaż naszych Dni
Niech będzie błogosławiona
Czerwień i Biele
Spływające z kolorowych okien
W głąb naszych serc
W Święto Lipcowe.

Mój przyjaciele nie szczędzili mi uwag gdy tuż po wyjściu z dworca przystałam nieco manipulując przy zamku torby. Tak się parszywie zaciągał, że ani rusz nie mogłam otworzyć. Uwieziony bilet kupiony przezornie w wagonie u kierownika pociągu był już dostatecznym powodem do zdenerwowania. Tak, bilet uprawniał nas do korzystania z tak-sówki bez kolejki. Przyjaciele zniecierpliwieni przedłużającą się nieobecnością odszukał mnie, zabrali torbę z ręk usiłując z koleją ją otworzyć. Udało się to nawet dość szybko. Przy czym wysłuchałam jeszcze dodatkowo: — Masz wybitne zdolności do techniki. Z tobą to tak jak ze ślepym kraś — wysilił się nawet flegmatyczny Arwidas.

Wszystkie ich uwagi puszczałam mimo uszu, bo jakie to miało znaczenie wobec otwierającego się przede mną miasta, jego bram jak: Ostra, św. Jura, Białych Szupów ze świętym Jackiem czarnym jak żużel od pogód i niepogód, wobec skarbów gromadzonych przez wieki i strzeżonych przez te bramy.

Byłam zadowolona, że moi przyjaciele okazali się bardziej prozaiczni aniżeli przypuszczałam i po przybyciu na miejsce wolej wypocząć zamiast ze mną biec na miasto. Umówiliśmy się, że za trzy godziny powrócę i wtedy zaprowadzę ich do użkandine leżącej na peryferiach miasta, ale za to częściej swych gości najprawdziej litewskim kindziukiem, że palce liżać, i ognistą brązką, po której pragnienia nie można ugasić nawet beczką wody. Może dlatego na podwórzu, pod chwiejącą iwa stoi zawsze wiadro chłodnej wody na cembrowinie studni, a do studziennego daszku uwiązanych jest na łańcuskach kilka metalowych kubków.

Byłam wolna i obojętne mi było dokąd pójść. Dokądkolwiek skierowałabym kroki, na cokolwiek podniosłabym oczy, zawsze na coś się natknę, co przyhamuje dalsze kroki, co przegwoździ wzrok. Wystarczy teraz na przykład przejść park, żeby znaleźć się przed gmachem Akademii Sztuk Pięknych. Z pobieżnych obserwacji nic się tu nie zmieniło, żadnej nowej rzeźby. Nadal przyciągają wzrok reliefy, sprzed prawie pół wieku, z motywami z „Dziadów”. Kute w różowym granicie wołyńskim stanowiły składową część pomnika „Pięć grzyma”, który nigdy nie zatrzymał się w mieście swojej młodości „górną i durnej”.

Teraz wzbudzały one we mnie mieszane uczucia: podziwu dla talentu twórcy i jednocześnie zażenowania z powodu grupy tępaków. Wygrali „z petardą” wgniećli, czyżby u-niesienie artystyczne, ciężką pracę kilku lat, stłamsili? Talent uznawany przez tej miary artystów co Rodin, Picasso. Wprawdzie świat artystyczny wileński chrzął od obrony swego kolegi, to jednak było za mało, żeby przeciwstawić się idej fałangistów. Musiał przegrać nieśmiały, zapełniony chłopak z małego miasteczka mazowieckiego, podążający z księgami Starego Testamentu na codzienne nauki do swych nauczycieli. Musiał przegrać i jako potomek rabinów i cadyków i jako już profesor.

Zobaczyłam go po raz pierwszy na ulicy. Był przygodnym świadkiem pewnego zbanowanego epizodu, którego i ja byłam również świadkiem a to dzięki wszedłobyjskiej koleżance.

Przybiegła z poczekalni na górę rozgorzała wewnętrznie i jak zwykle rozczochrona. Szeptała mi na ucho siedzącej grzecznie w ławce i czekającej na lekcję śpiewu: — Chcesz

Będę jednak musiał trochę ostrzej nakazać babie, aby w niedzielę rano więcej zajmowała się dziećmi. Małe to jeszcze, za miesiąc rok dopiero skończy, to i nie ma jeszcze co wymagać, żeby wszystko akuracie rozumiało. Wiadomo, że za rok czy półtora będzie już można pasem zdrowo przyrznać i spokój i ciszę nakazać, ale teraz? Zabawianie jeszcze tylko, od czasu do czasu najwyższej, jak już nerwów nie stanie, klapsa ręką przyłożyć. Niech tam zresztą Maryśka robi co chce i jak chce, byle bym tylko spokój miał w niedzielę rano i mógł się choć w jeden dzień trochę lepiej wyspać. Wierzyć się aż nie chce, że jeszcze dwa, trzy lata temu, póki się jeszcze nie ożeniłem, to dopiero w niedzielę rano do domu ściągałem, potem trochę zdrzemnął się, ale niedługo, żeby jeszcze przed południem wyszykować motor potem zjeść obiad, ubrać się, wyjść na wieś, posiedzieć trochę w gospodzie, no a potem to już tylko gdzieś na zabawę. Bywało, że jak w poniedziałek wypadła pierwsza zmiana, to ledwie tylko przebrać się zdążyło i już trzeba było gnać do autobusu. A teraz?

Dzisiaj niby niedzielą, spałem do dziesiątej, teraz pójść zajrzeć do Mietka, nawet nie będą się ubierał odświętnie, o tej porze ujdzie jeszcze po codziennemu, gdzieś o pierwszej wrócić do domu na obiad, a potem spać, nie odspać zmęczenia, ale pospać parę godzin normalnie. Przed wieczorem wstanie, znów obrządek i albo poglądam trochę telewizję, albo znów pójść od razu spać. W poniedziałek mam trzecią zmianę, muszę wstać jak najwcześniej, żeby jak najwięcej w polu zrobić.

Mietka spotkałem za stołową, w sadzie, właśnie przygotowywał się do gołeniaszki. Zapalił się i usiedliśmy.

— Co, gazetę kupiłeś? — spojrzał na mnie Mietek.

— Tak. Poczytam, może jakiś western w telewizji dają.

— Niepotrzebnie kupowałeś. Moja matka na pamięć wie, co przez cały tydzień każdego wieczoru dają. Ogląda wszystko co leci, aż do końca programu. Film to film, teatr to teatr, sport, polityka to... Ej, dziadek! Co wam matka mówiła? Ze macie przyzwyczajać się palić papierosy w tej długiej ławce z trzciną!

— Kiedy w trzcinowej ławce to jakieś gorzkawe, Mietku...

— Gorzkawe... Pamiętacie, co Kryśka mówiła? Ze najlepiej byłoby, gdybyście palili fajkę własnej roboty, jak najbar-dziej niezdarne zrobioną.

— Nie chce fajki! Wole już skręty...

— Skręty? — spojrzał na Mietka.

— To Kryśka... Chciała, żeby dziadek dał się namówić na fajkę, albo na skręty. Ale jakie skręty! Bibułka cieniutka, amerykańska, tytoń też amerykański. Ale dziadek jak stary, tak uparty. Dopięty w końcu z matką tylko tyle, że dziadek będzie palił papierosy w trzcinowej ławce.

Przydeptał niedopałek i wstał.

— No, dziadku zaczynamy. Otwórzcie gębę.

Dziadek otworzył szeroko gębę i Mietek, jak zawsze, zaczął drzeć watę i wypychać ją dziadkowi pod policzki. Kiedy policzki będą już jak małe dynie

zmarzszczy wyglądać się i Mietkowi będzie lepiej gościć.

— Nie mówili ci chyba jeszcze — odezwał się Mietek — nasz dziadek idzie do miasta.

— ??

— A tak. Matka zresztą też. Na gospodarce zostają ja z Hanką i ojciec. Wiesz, Kryśka urodziła dziecko i matka jedzie pomóc jej w odchowaniu.

— No, a dziadek? Po co on tam, do miasta?

— Jak Kryśka urodziła dziecko, to teraz już nie dziadek, ale pradziadek. Wiesz przecież, że nasza Kryśka wyuczyła się za inżyniera i za męża wydała się

Andrzej Łuczeńczyk

CO TYDZIEŃ W NIEDZIELĘ

też za inżyniera, a właśnie ostatnio w miastach, między inżynierami, doktorami i innymi tam, takie pradziadki stały się bardzo modne. No, dziadku, skończono. Wyruście watę.

Usiedliśmy z Mietkiem pod drzewem i zapaliliśmy. Dziadek chciał włożyć papierosa w kościaną cygarniczkę, ale Mietek powiedział tylko przeciągle: „dziadku...” i dziadek, mrużąc coś, wyciągnął zza pazuchy trzydziestocentymetrową moze łufkę z trzciną.

— Przetawiliście już trochę swoją pamięć, dziadku? — zapytał Mietek i usmiechnął się. — Bo widzisz — powiedział do mnie — dziadek pamięta co innego, a Kryśka chce, żeby wspominał co innego. Na przykład: dziadek wziął na pierwszą wojnę, zaraz potem trafił do niewoli i ciele wspomina, czego to on w tej niewoli nie widział...

— A pewnie — odezwał się dziadek — dużo widziałem. Oj, dużo... Rosły tam tylko albo winogrona, albo herbata. Ty nawet nie próbowałeś winogron, a jak pachną pola z herbata...

— No i widzisz — rozłożył ręce Mietek. — W kółko to samo. Dziadku, przecież Kryśka mówiła, że nie wam nie mogło pachnieć, bo byliście w niewoli i tylko teskniliście za wolnością. Ale nie, dotrże was Kryśka, dotrże. A z drugą wojną jak stoicie? Przypomnieliście już sobie, że byliście i w partyzantce i na froncie?

Dziadek nie odpowiedział.

— A był? — zapytałam.

— Kryśka chce, żeby był.

Razem chodziliśmy z Mietkiem do szkoły, razem kupowaliśmy sobie motocykły, razem jeździliśmy do dziewczyn, nie tylko jednego roku, ale i jednego miesiąca ożeniliśmy się, razem dojeżdżaliśmy do tej samej fabryki, to i odwiedzaliśmy się każdej niedzieli, raz ja chodziliśmy do niego, raz on przychodził do mnie.

Weszliśmy do domu. Matka Mietka gotowała obiad, a ojciec leżał w ubraniu na kozetce, ręce założył pod głowę i patrzył gdzieś za okno.

— Dzień dobry — powiedziałam i przywitałem się z ojcem. Ten usiadł, ziewnął i przeciągnął się.

— Witam Stasia, witam — odezwała się matka. — Proszę — wskazała mi krzesło. — Kawy czy herbaty?

— Napijesz się kawy, czy herbaty?

— Co?

— Nie... Nic nie chce. Gorąco...

— Oglądałeś wieczór, Stasiu, wiadomości sportowe? Ten piłkarz Mueller jest mały, niezgrabny, ma krzywe nogi, a słynny jest na całym świecie i nawet pokazują go w telewizji. Co ty na to?

— Hm...

— Jak sam mały, to musiał dobrze w ogon urosnąć — powiedział ojciec Mietka, oglądając palce u nog.

Matka chciała się roześmiać, ale zaraz ściągła usta, przymknęła oczy i prawie jęknęła jakimś takim bardzo, bardzo zmęczonym głosem.

— Stefan... Jak ty wszystko... U ciebie to zawsze tylko seks.

— Chwaliłś sobie ten seks, chwaliłś... mrknął ojciec, ziewnął i poczęstował nas papierosami. Do izby wszedł dziadek, rozejrzał się i usiadł na ławce pod piecem, ale matka popatrzyła na niego i dziadek wstał i usiadł na krześle; matka Mietka znów popatrzyła na niego i dziadek ostrożnie rozsiadł się na krześle niby w jakimś fotelu i rękami starał się objąć kolana.

— Znow się gdzieś biją — powiedział ojciec. — Tylko nie dostyszałem kto i gdzie.

— Na wojnie najgorsze jest okracanie — odezwał się dziadek. — Pamiętam, jak okracali nas pod...

— Ojciec! — krzyknęła matka i rozejrzała się, jakby czymś przestraszona i zamrugała oczami, ale zaraz też udało się jej usmiechnąć, podeszła do dziadka, poklepała go po ramieniu i powiedziała: — Tatusiu, a opowiedz nam, jak to sam jeden zmusiłś cekaemem do odwrotu cały pułk...

Spojrzałem na budzik. Było już wpół do pierwszej, wstałem i pożegnałem się.

— Pozdrów ode mnie swoją mamę — powiedziała matka Mietka, cała w uśmiechach.

Mietek wyszedł za mną na dwór i odprowadził mnie do furtki.

— Coś mi się zdaje — powiedziałam — że twój stary nie jest bardzo zadowolony z tego, że rozłączy się z babą.

— Nie jest on jeszcze taki stary, a i ona też jeszcze do rzeczy. Matka będzie przecież od czasu do czasu przyjeżdżać po watówki, to i przy okazji...

— Wyszedłem na drogę i wolno poszedłem do domu. Za tydzień, w niedzielę, Mietek przyjdzie do mnie.

obejrzał cyrk za darmo?

— Pewnie że chciałabym.

Wyszczereżyła zęby w radosnym uśmiechu.

— Zbieraj się prędzej! Wiedźmy!

Przyśiadła się na ławce, ale tylko po to, żeby mnie z niej zepchnąć.

„Zwiąć z lekcji chociażby była to lekcja śpiewu?” Miała opory. Wyrozumiała profesorka jak dotąd uwzględniała każdy prawie powód, i naj-

Marla Słwińska

Bohogłaz

częściej wyszarzy z palca, nieobecności na swoich lekcjach. Dotąd jednak żadna z dziewcząt nie wykreślała się cyrkami.

Zaryzykowała zmuszona kuskanciem Lilki: — Chciałabyś pójść do cyrku — rozpoznałam gdy tylko profesor zasiadł przy fortepianie.

— Cyrk Stanisławskich dopiero przyjdzie. Ja również się wybieram — odparła z niezmięconym spokojem profesor.

— Prawdopodobnie to jakiś inny cyrk. Mama mówiła, ale zapomniałam — ratowała sytuację kłamstwem Lilki.

— Z rodzicami idziesz?

— Ależ naturalnie, z rodzicami i babcią.

Głos koleżanki brzmiał tak prawdziwie jakby mówiła z położeniem palców na Ewangelię.

— Tylko uzupełnijcie solfeż i tekst nowej piosenki.

Uwierzyła, wiadomo że wierzy, a nam się udało i tylko za pół kłamstwa.

Polecałabym.

U zbiegu ulic Małej Pohulanki i Zawalnej zbity tłumek postępujący jedyną i chodnikiem w górę ulicy w kierunku Domu Akademika. Z trudem przecisnęliśmy się do środka.

Po chwili Lilka zanosiła się gładzącym na widok dwóch młodych mężczyzn idących kocim chodem pod górę. Obaj w białych koszulkach i białych w piżmach, ale chyba tylko po to, aby było jeszcze śmie-

półpny wywołał nową falę śmiechu i komentarzy.

Z góry, od strony Domu Akademika szedł wysoki mężczyzna opierając się na lasce raczej dla fasonu aniżeli z potrzeby.

Lilka przestała nagle interesować się zawodnikami i całą swoją uwagę skierowała na zbliżającego się mężczyznę o śniadej cerze, czarnych, pałających oczach. Po chwili już pytała sekundantów zagrażając im z kolei drogę: — Dlaczego święty Jan Chrzciel?

— Był modelem do popiersia świętego Jana.

Uciechła na krótko, dokładnie przglądając się nadchodzącemu. Po chwili znów usłyszałam jej napaściwy głos: — Zie ten ktoś wybrał. Święty Jan Chrzciel był kudłaty i zdziwały. Nic a nic głowa z półmiska Herodiady nie podobna do jego.

— Przestań już wreszcie plątać się nam pod nogami, widzisz przecież że jesteśmy zajęci — ofuknął Lilkę jeden z sekundantów. Drugi dodał: — Wiesz mała, za pięć lat możesz przyjść do mojej pracowni, może nawet będziesz modelem do portretu Herodiady.

Lilka promieniała, a ja z kolei nie mogłam jej sobie wyobrazić tańczącej nawet z od-rabną głową kury na półmisku. „Święty Jan Chrzciel” zatrzymał się nie opodal raczkujących zawodników. Na jego twarzy oświetlonej rondem kapelusza oprócz zaskoczenia malowała się dezaprobatą.

— Panowie studenci, panowie studenci — ograniczy się jedynie do tych słów przebiegając wzrokiem po wygarbionych plecach, wypiętych pośladkach pod pasiastymi piżmami.

Natychmiast z wyjaśnieniem pośpieszył jeden z sekundantów: — Panie profesorze, to jest gra o bardzo wysoką stawkę.

Zawodnik mijający w tym momencie profesora wyarczył na ile to było możliwe głośno: — Oto homo sapiens, słowo honoru, panie profesorze!

Skwitował słowa studenta kilkakrotnie kiwnięciem głowy. Oparty na lasce, obojętnie na przepychanie się gapiów, na ich uwagi pod adresem zawodników śledził przez jakiś czas z uwagą posuwających się zawodników. Zdążyli już w międzyczasie zmienić „bieguny”. Takiego też zapamiętałam.

Wracałabym do domu. Lilka była niepokojona, bowiem zakład wygrał brzyjszy zawodnik. Rozstaliśmy się po drugiej stronie ulicy naprzeciwko tego miejsca, gdzie teraz stałam przypatrując się samotnie reliefom i z nasuwającymi się coraz natrętniej myślami: „Czy wtedy, pod klasycznym sklepieniem czołem profesora, gdy tak stał oparty na lasce, rodziła się nowa koncepcja człowieka w marmurze, glinie, granicie wołyńskim, człowieka z „wielzryni” biegunami, być może jakaś bezkształtna jeszcze bryła, bohogłaz, ciążący całą masą ku coraz to nowym „biegunom”, albo może już nowy swój porwy pawił w starym upokorzeniu, którego miał po gardło jak mówili wileńskie.

Na reliefach kołyszą się drobne cienie listne. Przebiegają i wracają podobnie jak moje myśli: „Święty Jan Chrzciel, Lilka, Pięć grzyma, homo sapiens, bohogłaz”. Cienie teraz są drobniejsze, bardziej zwarte, o wyrazistych konturach. Spoglądam w niebo. To sprawa słona. Prawdopodobnie południe chociaż mogę się mylić, przez tyle lat oglądam inne południa, nie wileńskie. Sięgam po zegarek na dno torby. A jednak nie omyliłam się, mimo że tak cicho nadeszło w zakłętym milczeniu dzwoniów. Jest pięć po dwunastej.

KSIĄŻKA

I. Mimo iż zeszłoroczne wydarzenia w Gdańsku są już przeszłością, nie stanowią jednak jeszcze historii. Tą będą dopiero dla przyszłych pokoleń. Dla nas wszystkich, dla naszego pokolenia, wydarzenia gdańskie są wielką nauką, nie o tym co grozi, gdy się nie dostrzeżają i nie respektuje obiektywnych potrzeb społeczeństwa, a przede wszystkim klasy robotniczej, ale jak to społeczeństwo, ta klasa robotnicza, potrafi walczyć o swoje prawa, o to, co jej się rzeczywiście należy.

Czyżby jeszcze jeden slogan spod znaku taniego przemówienia okolicznościowego, w którym patos miesza się z truizmem i tanioczną sformułowaną? Tylko że zawsze tak jest, gdy się mówi lub pisze o rzeczach wielkich i ważnych, a w swych treściach tak wymownych, iż milczenie jest najlepszą formą wyrażenia tej wielkości. Lecz jest to ten swoisty rodzaj milczenia, którego z zasady nie znają ani politycy ani dziennikarze. I trudno się dziwić. Ostatecznie ci pierwsi są odpowiedzialni bardziej nie za rzeczy małe, ale te wielkie, które jakże często przerastają ich pragmatyczną wyobraźnię, a co z tym się wiąże zdolności otwartej działalności Dziennikarza natomiast obarczeni zostali obowiązkiem dawania świadectwa prawdzie poprzez pisanie. Zle, dobrze, subiektywnie, bez dania racji, ważne jednak aby zawsze przemawiały fakty, jako że one się liczą w ostatecznym rozrachunku, one właśnie składają się na lekcję historii, która jak wiemy, bardziej informuje aniżeli uczy. Bo gdyby tak było, to o ile mniej szaleństw popełnialiaby ludzkość, ale też raz ustanowiony ład i porządek trwałby wiecznie.

Wróćmy jednak do Gdańska, do połowy lata zeszłego roku, kiedy to właśnie w mieście tym... czuło się oddech historii! Tak w każdym razie w mieście później odnotują to dwaj dziennikarze Wojciech Giełżyński i Lech Stefański — naoczni świadkowie osiemnastu dni tamtych wydarzeń. Oczywiście wielkich dla nas, ujętych w perspektywę czasu, ugodzonych w wszystkie strony, co stanowi konsekwencję tych blisko trzech tygodni zmagania dwóch wielkich żywiołów: społeczeństwa i władzy. Zmagania, które w każdej chwili groziły pożogą, rozlewem krwi, walką nie o władzę, ale o rację. Kiedy już podpisano porozumienie i zakończony został jeden z najdłuższych i największych strajków w powojennych dziejach Polski (do końca nazwany po imieniu), zaczęliśmy mówić o zwycięstwie rozsądku, o umiejętności prowadzenia dialogu, o możliwości i potrzebie rozwiązywania wszelkich kryzysów i konfliktów na drodze negocjacji politycznych a nie siłowo, ba nawet z marszu. A przecież to ostatnie radzili niektórzy znajdujący się zresztą po obu stronach wzniezionej wówczas barykady.

Pamiętamy, tych „barykad” w powojennych naszych dziejach było przedtem cztery: 1956, 1968, 1970, 1976. Wszystkie one zostały skrupulatnie wypisane na pomnikach Wyrzeża i Poznania. Wszystkie one symbolizowały rozlaną krew, unaczyniały też, iż ludzie sprawujący władzę z braku nie racji lecz argumentów, uciekali się do argumentu ostatecznego, jakim od ponad dwustu lat jest broń państwa. W Gdańsku zwyciężył rozsądek, zwyciężyły argumenty obu stron. Dlatego może właśnie w tym mieście roku 1970 tym razem nie było ani

zwycięzów ani zwyciężonych. Stało się to co określono mianem odnowy. Tak więc do naszego współczesnego słownika politycznego różnorodnych przedziwnych hasel-pojęć przybyło kolejne, na którego pełną definicję jeszcze poczekamy.

O Gdańsku pisano wiele, bardzo wiele, co prawda nie wszystko bezpośrednio w trakcie samych wydarzeń, lecz później, kiedy już znane były konsekwencje tamtych dni. Poddano rekonstrukcji kalendarium, w pośpiechu kręcono filmy dokumentalne w oparciu o jakże bogaty materiał fotograficzny. Jako że w drugiej połowie naszego stulecia wszystko jest do uchwycenia, odnotowania na gorąco, utrwalenia w zapisie na taśmie magnetofonowej czy filmowej. Wszedłoby się czy przypadkowy reporter nagrywałby przypadkowo najbardziej tajne rozmowy, nakręcał setki metrów taśmy

później bo chciano pokazać społeczeństwu jak rodzi się nowa jedność, nowa jakość, nowe treści. Wszystko w oparciu o wielogodzinne dialogi przerywane na konsultacje i uzgodnienia z jednej strony z ogółem strajkujących, z drugiej z Partią. Te konsultacje i uzgodnienia na zewnątrz, mimo prerogatyw obu układających się stron, przedłużały dialog, zaostrzały sytuację w kraju. I to co wydawało się być problemem lokalnym, w każdym razie w ciągu pierwszych trzech dni, stało się sprawą ogólnonarodową. I kiedy 31 sierpnia w sali obrad Stocznii Gdańskiej, już po podpisaniu umów przez obie wysokie układające się strony, odśpiewywano hymn narodowy — co skwapliwie pokazywały kamery telewizyjne — to hymn ten już nie śpiewano w imieniu społeczeństwa, jako że całe społeczeństwo wpatrzyło

się w ten sposób w twarz strajkujących, a czego nie uchwycił żaden zapis taśmy magnetofonowej czy też kamery filmowej. Wmontować w scenariusz i to koniecznie, opowiedzieć własnymi słowami, na pewno. Tylko że znowu, czy to nie za bardzo subiektywizuje ten historyczny materiał? Ostatecznie Giełżyńskiemu łatwo jest pisać o wydarzeniach w Iranie, gdzie fakty są tak okrutne, że dla zlagodzenia scenariusza wolają o rozładunku plotkę, o wtargnięcie na temat pogody czy czasowego złego samopoczucia reportera. Tutaj w Gdańsku, wszelkie tego rodzaju wtargnięcia oślabiałyby tekst, ba, mogłyby nawet sugerować, iż autorzy pragną coś przemilczeć, zbyć dygresją. A przecież ani Giełżyński, ani Stefański, nie chcą być o to posądzeni. Jak również nie chcą być w swojej książce anonimowi. Chcą pisać o

bnym i nie najciekawszym przypisku.

Kto wie zresztą, czy w tamte gorące dni nie wierzył, że właśnie Warszawa, że centrala, że decydenci, dadzą się równie łatwo przekonać jak robotnicy o słuszności postulatów strajkujących zawartych w słynnych 21 punktach? Tylko że decydenci wówczas też jeszcze nie dojrżeli. Wierzyli raczej mocno, że uda się im jakoś wywinąć z tej całej nieprzejawionej dla nich sprawy. Jeszcze wierzyli w niezachwiany społeczny autorytet pierwszego. Zresztą on sam w to wierzył. Przecież od początku wydarzeń był w cieniu, był nieobecny wypoczywając na Krymie. Kiedy wrócił, było już za późno. Może gdyby spróbował od razu pojechać do Gdańska, do tych samych przecież ludzi, którzy w 1971 roku solennie obiecywali „pomocemy”, sprawa przybrałaby inny obrót. Nie pojechał, był ponadto. Wolał przemówić w telewizji, użyć groźby. Nie poczuwał się do żadnej cannosy. Ale nie miał też już żadnych argumentów. Przegrał, musiał przegrać.

Teraz już wypadki rozstrzygały się poza nim. Jeszcze się nie mógł zdecydować na rezygnację, tym bardziej że strajkujących nie interesowały zmiany personalne tam na górze. Oni jednoznacznie żądali podpisania 21 punktów. Od tego uzależniali przerwanie strajku, przystąpienie do pracy. Pamiętali swoje przegrane z poprzednich lat. Teraz chcieli mieć absolutnie jednoznaczne gwarancje. I nie chodziło tu już o doraźną poprawę warunków pracy, spraw bytowych. Stawka była o wiele wyższa — chodziło o przyszłość, aby już nigdy więcej nie musieli w sposób drastyczny dopominać się o swoje prawa, o to co im się należy.

Ale tak jak oni musieli sami do tego dojrzeć, tak też musieli dojrzeć i druga strona. Inaczej nie byłoby odnowy po obu stronach barykady. I jak słusznie stwierdza prof. Władysław Markiewicz w posłowie do tej książki: „Niełatwo przyjdzie partii odzyskać się od wygodnych nomenklaturowych form sprawowania kierownictwa politycznego w państwie socjalistycznym i przyswoić sobie w zamian perswazyjne działania w masach. Ale i społeczeństwo, w którego oczach partia straciła swą wiarygodność, nie bez oporów będzie musiało na nowo oswoić się z myślą, że bez partii nie może istnieć rozumnie urządzone państwo”.

IV. Wydarzenia Gdańskie rozgrywały się dokładnie na przestrzeni osiemnastu dni. O każdym z tych dni można by napisać oddzielną monografię, przeprowadzając szczegółową analizę pojedynczych potknięć obu stron, które w sumie złożyły się na całokształt scenariusza wydarzeń. Giełżyński i Stefański zrelacjonowali to na dwustu stronach książki. Streszczali się, wpyliwali tylko to co najważniejsze. Oczywiście w ich odczuciu. Podawali fakty, rzadko uciekali się do ich interpretowania. Tutaj świadomie rezygnowali ze swojego dziennikarskiego przywileju. A może bał się, że obraz zostanie zniekształcony, że znowu zagubiona zostanie istota problemu, który jeśli nie chcemy, aby się powtórzył, to musi być odnotowany w całej swojej jaskrawości. Jako że nie sam problem nas kompromituje, ale to wszystko co wokół niego narastało, co spowodowało zaistnienie tych osiemnastu dni.

Wojciech Giełżyński, Lech Stefański: Gdańsk, Sierpień 80. Posłowie Władysław Markiewicz. Książka i Wiedza, Warszawa 1981 r. s. 224.

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

W Gdańsku czuło się oddech historii

z zamachu na głowy państwa (jak choćby ostatnio w przypadku Reagana czy Jana Pawła II), fotografuje mordercę w momencie, gdy ten strzela do niego, jak to miało miejsce ze szwedzkim reporterem w czasie puczu wojskowego w Chile w 1973 roku. Na pozór martwa kamera utrwała wszystko co znajduje się w polu jej obiektywu. Tu już nie trzeba inwencji reportera, to nie on szuka rozpaczy i tematu, lecz sam temat daje mu wielką szansę trafienia na pierwsze strony dzienników.

Giełżyński i Stefański znaleźli się w tamte pamiętne dni przypadkowo w Gdańsku. Nie zapominając, że była to pora urlopów wakacji. Reporterski instynkt czy doświadczenie kazało im od początku twarzyć się tym wydarzeniem? Może jedno i drugie. Bo przecież w atmosferze już coś wisiało, już było po Lublinie, już się coś szeptało wbrew oficjalnym zaprzeczeniom i nieustannej, nachalnej „propagandzie sukcesów”. Owszem oficjalnie mówiło się o jakichś przestojach, ale plan wciąż był wykonywany z nadwyżką.

Tylko że szepty to plotka, propaganda sukcesów to kłamstwa. Gdzie więc była prawda? Bo przecież gdyby nie było tej prawdy, nie byłoby Gdańska, a później Elbląga, Szczecina, Wrocławia, Łodzi, reszty Polski. Byłoby lokalne zdarzenie, które po likwidacji wpisane by na listę przestojów, poddano by zafalszowaniu, przykrojono do kolejnego etapu propagandy sukcesów, tak jak to miało miejsce dawniej. I jakże trudno byłoby to odkłamać, uwiarogodnić. Bo jeśli przed Gdańskiem, tym z 1970 roku jak i z 1980 był Czerwiec 56, to dziś po ćwierć wieku wciąż trudno jest obiektywnie zrekonstruować właśnie tamte wydarzenia. Może za dużo świadków, a może po prostu za dużo sprzecznych ze sobą oficjalnych ocen i relacji, do których przez te całe ćwierć wieku mozolnie dopasowywano fakty.

Na szczęście Gdańsk Sierpnia 80 roku ominął ten los. Wszystko tu jest jednoznaczne, dokładnie opisane, obfotografowane, utrwalone na taśmie magnetofonowej i filmowej. Od początku prowadzono pełną dokumentację, skrupulatnie spisywano kronikę, dzień po dniu, godzina po godzinie. Robiono to po obu stronach barykady. Najpierw, bo sobie wzajemnie nie wierzone,

ne w telewizory śpiewało tę pieśń, której przywrócono teraz w Sierpniu jej dawne treści znaczeniowe.

Inna sprawa, że z tej ogromnej dokumentacji prowadzonej na gorąco, w prasie codziennej ukazała się tego zaledwie drobna część. A jednak ówczesny uważny czytelnik miał świadomość nie tylko wagi samych wydarzeń, ale również świadomość klimatu zdarzeń oraz tego ad hoc kreowanego pełnego wewnętrznych sprzeczności fabularnych scenariusza.

Zabrakło jednak później papieru na książki, które by to pomieściły. Stąd do dziś, po z góry dwunastu miesiącach, na palcach jednej ręki można policzyć oficjalne publikacje książkowe dotyczące Gdańska. Znowu najważniejszy aneks do historii ma szansę być przekazywany poprzez opowieści świadków, wyolbrzymione i przekolorowane relacje opowiadane pokątne z dawaniami najświeższego słowa honoru, a nie przemawiać oficjalnym drukiem na gorąco prowadzonej przez dziesiątki osób do tego upoważnionych kroniki.

Ale tym ważniejszą staje się publikacja Giełżyńskiego i Stefańskiego „Gdańsk Sierpień 80”, która ukazała się w nakładzie stu tysięcy egzemplarzy w Wydawnictwie Książki i Wiedzy.

III. Gdy się pisze o sprawach wielkich, gdy się ma świadomość ich historyczności, a gdy jeszcze dodatkowo wie się, iż przez przypadek jest się swojego rodzaju monopolistą na tekst, jakże wówczas łatwo popaść w patos, w mitologizację. Ale równocześnie trudno jest się zdecydować na rodzaj scenariusza, nie wiadomo od czego zacząć. Fakty mówią za siebie. Wystarczy je tylko przytaczać, odpowiednio ułożyć, wypunktować. Tylko że to już interpretacja, w której jakże łatwo zafalszować prawdę.

A co zrobić z plotką, która tam w Gdańsku w te gorące dni też była faktem i to często groźną jakże tragicznymi konsekwencjami. Właśnie wówczas plotka była częścią faktu, czasami go zastępowała, decydowała o scenariuszu wydarzeń. Teraz, nawet z ulamkowej perspektywy czasu, plotki nie da się pominąć jeśli chce się pisać wszystko o faktach. Trzeba ją nie tylko odnotować, pokazać, ale i wmontować w całość scenariusza.

A co zrobić z tym wszystkim czego było się świadkiem i uze-

faktach, ale i o sobie, o swoich stanach emocjonalnych z tamtych gorących dni. Zresztą w tamte sierpniowe dni, każdy z nas mówił o Gdańsku, ale również i o sobie, co o tym myśli, jak to czuje.

Stąd już we wstępie autorzy nie bez racji konstatują: „Rzeczą historyka będzie ocenić, rzeczą reportera jest zapisać to, co wydarzyło się w sierpniu 1980 roku na Wyrzeżu”. Systematycznie dzień po dniu. Spisać cały scenariusz w najważniejszych punktach. Trudno jest jednak na gorąco stwierdzić co właśnie w tamtych dniach było najważniejsze, co zadecydowało o takim a nie innym charakterze przebiegu zdarzeń. Bo kto wie jak by się potoczyły wypadki, gdyby nie wpadka dziennikarza, który być może nawet w dobrej wierze podał informację, o fakcie, iż postępujące strajki w różnych zakładach pracy na terenie Polski były spowodowane niezrozumieniem przyczyn strajku w Gdańsku. I to w momencie, gdy była szansa, aby po trzech dniach Gdańsk skapitulował.

Również można sobie postawić pytanie co by się stało gdyby zamiast wicepremiera Pyki do Gdańska na czele komisji rządowej zjechał od razu Mieczysław Jagielski? W ogóle casus Pyki jest świadectwem jak jednostka potrafi zniszczyć trud tysięcy ludzi. Pyka w Gdańsku zawierzył swojej inteligencji i stanowisku. Zabrakło mu jednak instynktu. I mimo całego swego krasomówstwa nie potrafił jak się okazuje rozmawiać z robotnikami. Po prostu chwycił się starej, ograniczonej metody — obiecywania. A tu już potrzebne były konkrety. Niestety rozmowy, które prowadził z przedstawicielami komitetu strajkowego Stocznii Gdańskiej na terenie gmachu władz wojewódzkich, nie zostały ani nagrane, ani utrwalone na taśmie filmowej. Były tylko zapamiętane przez uczestników tej rozmowy. Pyka silił się na dowcip, obiecywał, bagatelizował. Wierzył w siebie, wierzył że nagłe staje się meżem opatrnościowym, że w ten z pozoru tylko jakże tani sposób przechodzi do historii. Tylko że nie zawsze do historii przechodzi się z tytułu sprawowanej władzy. Czasami właśnie ta władza wyrzuca poza burtę historii. Wicepremier Pyka, z zawodu profesor — jak będzie podawał już później w oficjalnych dokumentach — do historii przeszedł ale w dro-

TEATR

Spektakl, którym pragnę zainteresować Czytelnika, w chwili gdy tekst ten doń dotrze, będzie należał już do przeszłości. Sądzę jednak, że przedsięwzięcie, o którym za chwilę, zasłu-

GRAŻYNA KOMPTEL

TEATRALNY PRECEDENS W KATOWICACH

guje nie tylko na uwagę, ale może stać się początkiem zmian w naszym, inercyjnym na ogół, życiu teatralnym.

Zdarzenie miało miejsce w Katowicach (8-14 lipca) i nosiło tytuł „Tragedia romantyczna”. Warto jest odnotować z kilku co najmniej powodów: ze względu na dramaty, które posłużyły za materię widowiska („Dziady” i „Kordian”), ze względu na miejsce wystawienia (Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Widowiskowo-Sportowe, popularnie zwane „Spodkiem”), ze względu na szczególną dobrą ekipę realizatorów (ogólnopolska obsada), ze względu na interesujący debiut reżyserski (studenci Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego) i wreszcie — ze względu na mecenat (Zarząd Regionalny NSZZ „Solidarność” w Katowicach).

Pojawienie się sztaandarowych dramatów polskiego romantyzmu na scenie zawsze wiązało się z różnorodnymi oczekiwaniami widowni. Oba dzieła, wydrukowane w I połowie ubieg-

łego wieku, zostały napisane dla teatru przyszłości. Ich autorzy mieli świadomość nieprzystawalności własnych utworów do znanych im warunków technicznych budynków teatralnych. Chronologicznie późniejszy „Kordian” doczekał się pierwszego wystawienia (1899) w Krakowie w 65 lat po ogłoszeniu drukiem, „Dziady” zaś musiały poczekać jeszcze dwa lata i prapremierową inscenizację wszystkich części złączonych w jedną całość (1901) zawdzięczać Wyspiańskiemu.

Przypominam te fakty, by uzmysłowić Czytelnikowi, że sceniczne dzieje obu narodowych arcydramatów rozpoczęły się w naszym, dwudziestym wieku. Dzieje te były skomplikowane, jak skomplikowana była historia Polaków. Nie wiele można by wskazać okresów, gdy po „Dziady” i „Kordiana” sięgano zupełnie swobodnie, bez ograniczeń.

Przy próbie spojrzenia na teatralne dzieje najbardziej znaczących dramatów Mickiewicza i Słowackiego nie sposób pominąć faktu że nigdy dotąd nie były one prezentowane łącznie w jednym spektaklu w ciągu jednego wieczoru. Tak więc i z tego względu katowickie przedstawienie można określić mianem swobodnego ewenementu, tym bardziej, że prezentowane tam „Dziady” i „Kordian” nie stanowiły przypadkowego zlepku dwu dramatów, lecz zostały pomyślane i co ważniejsze, odczytane jako jeden konsekwentny spektakl. Tym bardziej to zdumiewa i zasługuje na uznanie, że autorami inscenizacji i reżyseri są dwaj bardzo młodzi, debiutujący twórcy: Adam Gessler („Kordian”) i Mirosław Kin („Dziady”). Scenografię zaprojektował Artur Turalski, kostiumy — Ryszard Jasiewicz, muzykę skomponował Czesław Niemen, zaś choreografię opracowała Marta Bochenek i Wojciech Misurka.

Przedstawienia nie prezentowano w budynku teatralnym, lecz, jak już wspominałam, w hall widowiskowo-sportowej. Jest to ogromny gmach z amfiteatralną widownią, otaczającą dużych rozmiarów arenę, obliczoną na 8 tys. osób.

Architektura owego obiektu przywodzi na myśl dziewiętnastowieczny cyrk olimpijski braci Franconich, a więc miejsce, które zdaniem Mickiewicza, jako jedyne nadawało się wówczas, aby „wprowadzić na scenę dzieła bohaterów i masy ludu tak dzisiaj przeważne w życiu społecznym”. Można zatem uznać, że wybór obiektu nie był w najmniejszym stopniu dziełem przypadku, lecz podyktowany został względami artystycznymi. Dla takiego bowiem teatru Mickiewicz pisał swój monumentalny, słowiański dramat i pragnął dlań rozległej przestrzeni.

Katowicki „Spodek” okazał się zatem miejscem właściwym, bo pojemnym. Siły dramatu romantycznego tkwią w zderzeniu z widzem, odbiorcą, współuczestnikiem. Im zatem liczej i szersza ta grupa, tym większa moc słowa poety, tym większe napięcie.

Przeciętna widownia teatralna w Polsce liczy około 500 miejsc, 8 tys. stanowi zatem szesnastokrotne jej pomnożenie. Siedmiokrotne zagraenie „Tragedii romantycznej” w śląskiej hali dało szansę obejrzenia jej 56 tysiącom widzów, co w porównaniu z możliwościami teatru oznacza 112 spektakli. Liczba to imponująca. Jeśli zważyć, że nie działała tu komórka zwana organizacją widowni i że w celu zapewnienia miejsc nie bazowano na wyloczkach tudzież młodzieży szkolnej. Ustrzeżono się też przed przykrym i irytującym obyczajem, polegającym na niemożności kupienia biletu w kasie, podczas gdy w środku roi się od pustych krzeseł.

Zainteresowanie widowiskiem zawdzięczać należy nie tylko wyborowi dramatów (jak do wiadomości się z programu, ostatni raz grano na Śląsku „Kordiana” w 1958 r. zaś „Dziady” — w 1961 r.) i udziałowi stołecznych artystów (m.in. Olbrychski, Bilewski, Prykors, Jedrusik, Chmielec), ale w równej mierze patronatowi „Solidarności”, która nie tylko przedsięwzięcie sfinansowała, ale także wydawnie przyczyniła się do szerokiego rozpowszechnienia wśród robotniczych załóg powstającego (notabene w rektordwo szybkim tempie) przedstawienia. Ponadto spowodowała, że kilkunastu jej członków podjęło się bezinteresownej pomocy przy pracach organizacyjno-technicznych.

Na kilka dni przed premierą miasto zaczęło żyć tym widowiskiem. Na ulicach pojawiły się barwne plakaty, mury obklejono wydrukowanymi na jasnym, klepskim papierze krótkimi anonsami z nazwiskami wykonawców, zaś na frontonie hali powiewały flagi: biało-czerwona, biało-żółta, biało-niebieska i biała z napisem „Solidarność” oraz rozpościerały się duże plany z tytułem spektaklu. U wejścia widzowie napotykali ustawione specjalnie na tę okazję rusztowanie z zamontowanym dwugłowym orłem w koronie i zatkniętą polską flagą narodową. Owego pretensjonalny, jak na mój gust, efekt bez wątpienia wzmagal zaciekawienie. Wszyscy podążający do „Spodka” zadawali pytanie: jakaż będzie ta romantyczna tragedia?

Zajmującej miejsca publiczności towarzyszyła muzyka dyskretnie imitująca dźwięk bijących dzwonów. Nad sceną, u kopuły, przymocowane były chorągwie. Od strony głównego wejścia dla aktorów ustawiono ołtarz w formie trybny. Naprzeciwko umieszczono wielki tron.

Ciąg dalszy na str. 12

